

I. 153.095

A.

PISKLETA

~~7830~~



TEJŻE AUTORKI:

DZIECINNY DWÓR — POWIEŚĆ DLA DZIECI.
WYDANIE DRUGIE. SPÓŁKA NAKŁADOWA
»KSIĄŻKA«. W OPRAWIE K. 3. 60 HAL.

ZOFJA ROGOSZÓWNA
PISKLETA

WYDANIE DRUGIE. DRUGI I TRZECI TYSIĄC.



Biblioteka miejska
4804
w Pruszkowie

10065.

NIE NISZCZYĆ KSIĄŻEK

SPÓŁKA NAKŁADOWA »KSIĄŻKA«
SKŁADY GŁÓWNE: S. A. KRZYŻANOWSKI, KRAKÓW;
G. CENTNERSZWER I SKA, WARSZAWA,
THE POLISH BOOK IMPORTING Co, NEW YORK.

PRZEDRUKI, NIEUPRAWNIONE PRZEZ AUTORKE, WZBRONIONE.
WSZELKIE PRAWA AUTORSKIE CO DO TŁUMACZEŃ I PRZERÓBEK
Z A S T R Z E Ż O N E.

PRAWA AUTORSKIE CO DO TŁUMACZEŃ I. T. D. W ROSJI ZDRE-
ZERWOWANE NA ZASADZIE USTAWY Z DNIA 3 KWIETNIA 1911 R.
COPYRIGHT BY ZOFJA ROGOSZÓWNA, MINETEEN HUNDRED
TWELVE. 11

751



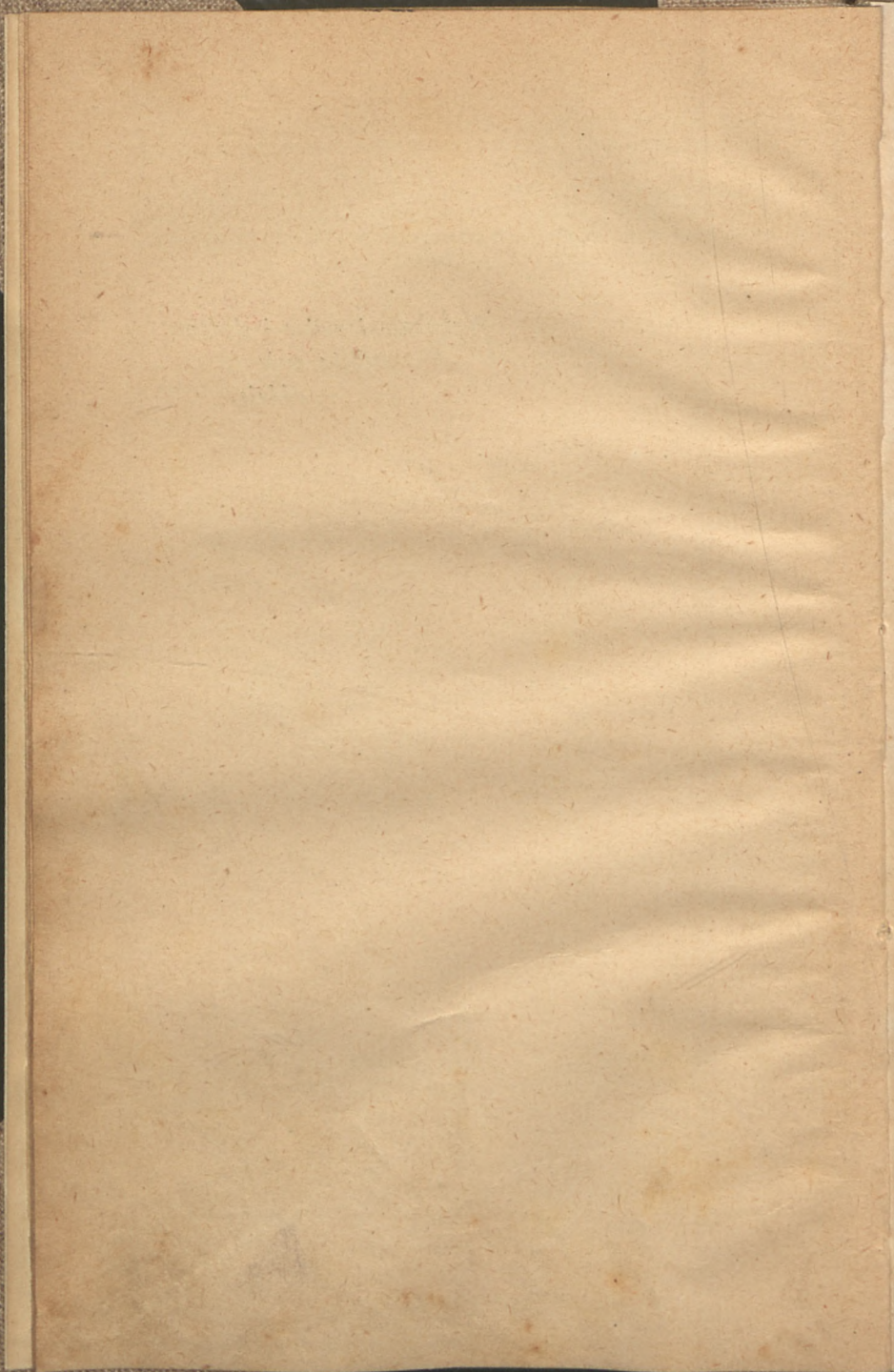
I. 153.045

RYSunEK NA OKŁADCE JANA REMBOWSKIEGO.
CZCIONKAMI DRUKARNI NARODOWEJ W KRAKOWIE - 9 - 12.

1956 D 835 / 46

Najdroższej matce i siostrom
pisklęta moje
— oddaje.

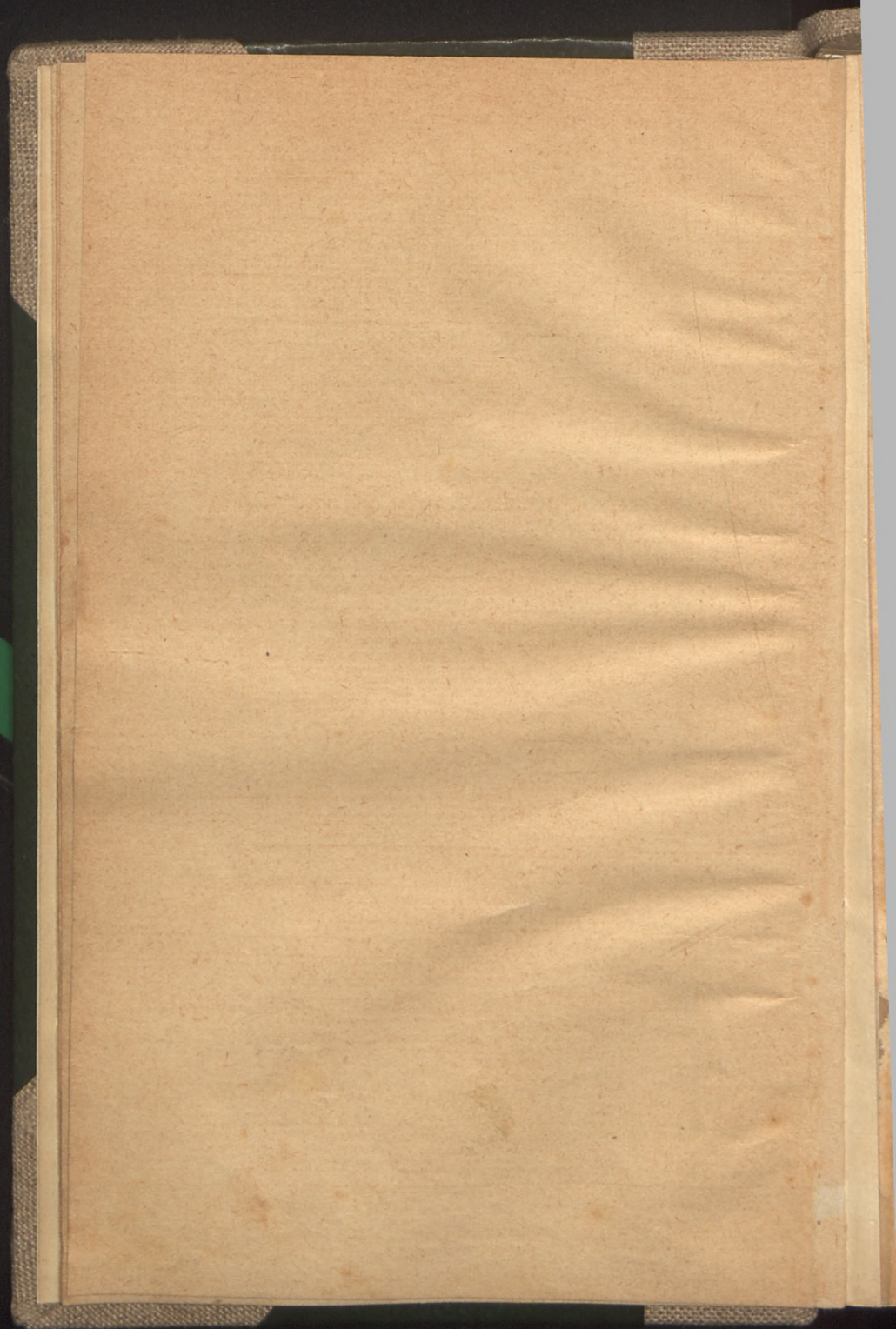




SPIS RZECZY

7830

	Str.
JURECZEK	1
JAKĄ SOBIE JĘDRUŚ »TIUTKĘ« ZNALAZŁ	13
JAKI »ODPUST« ZROBIŁ JĘDRUŚ MAMIE, A JAKI MAMA JĘDRUSIOWI	27
JAK SIĘ TO JĘDRUŚ OPIEKOWAŁ MARYSIĄ	37
JAKĄ NAUKĘ DAŁ TIUTCE JĘDRUŚ . . .	49
HALUŚKA CZĘŚĆ I.	57
HALUŚKA CZĘŚĆ II. — TEODOR	95



JURECZEK.

PiskleŃa.



NIE NISZCZYĆ KSIĄŻEK



dzie, idzie, idzie Juruś. Białe, ciepłe nóżki podnoszą białe kolanka, a kolanka podnoszą Jursia.

Ani nóżkom, ani kolankom nie jest ciężko, bo kula, wewnątrz której znajduje się Juruś, jest tak urządzona, że wszystko w niej jest łatwe i bardzo przyjemne. Wnętrze kuli jest zmienne: słodkie — smakiem wypitego mleczka, dźwięczne — dźwiękami głosów tatusia i babci, pachnące — wonią kwiatów, w które Juruś wsuwał usteczka i mówił: »a-a-a!« i ciekawe, jak kwokanie kury z kurczątkami. Wszystko w kuli jest żywe, wszystko mieni się złotobronzową barwą nowych buciczków Jursia. Czasem na jedno mgnienie oka wszystko niknie, tęczowe ściany kuli mętnieją i odsuwają się gdzieś daleko — daleko — wtedy Jursia ogarnia nagły lęk, jakby go wniesiono do obcego, nieznanego pokoju, ale dość mu wtedy poruszyć rączką, a już czuje pod paluszkami gładziutką buzię mamy, i choć Juruś nie wie, czy mama jest przy nim, za nim, czy w nim samym może, ta zupełna pewność matki obecności powraca Jursiowi radosne uczucie ufności i spokoju. Już, już mgliste ściany kuli przybierają barwę jasnych oczu, które z uśmiechem patrzą na Jursia, i twarzy różowej, w której jeszcze różowsze usta szepcą:

— Juruś koczany, kochana dziecinka...

A Juruś idzie, idzie, idzie. Tak, tak, kolanka się podnoszą i ciągną do góry nóżki, a nóżki podnoszą Jursia.

— Kho, kho, kho-kho, kho, kho-o-o-o — — —

Kureczki... kureczki — wołają na Jursia — kureczki chcą zobaczyć nowe buciczki od babci.

I zaraz tatuś robi się z dużego mały i ręka jego zaczyna rzucać kurkom bułeczkę — pod nóżkami Jursia zielono, a w główkę tak ciepło, ciepło, że się aż w górze roztwiera parasolka babci. A jedna kurka taka wielka i woła: gul! gul! gul! — i szyjka jej się dąsa i czerwieni się, jak garnuszek, z którego Juruś pije mleczko.

Phu!... — napuszyła się kurka i — szur... — zaszleściła skrzydłami po trawie.

I niema nic, ani kurki z czerwoną szyjką, ani parasolki z babcią... Tylko nóżki podnoszą kolanka, a kolanka niosą Jursia, i Juruś idzie, idzie, idzie... sam.

Aż tu przed Jureczkiem ukazuje się broda i wąsy koloru Jursiowych buciczków od babci. Za brodą i za wąsami mówi głos tatusia:

— Juruś sam idzie? Sam idzie Jureczek?

Juruś nagle spostrzega, że dzieje się rzecz dziwna i niepojęta. Juruś sam idzie, sam zupełnie idzie, chociaż nikt go za rączkę nie trzyma. Idzie sam, jak mama, jak tatuś, jak doktor-konsyljarz, jak kurki. Uczucie dumy wzbiera w Jursiu i stawia nóżki, stawia, stawia.

A wewnątrz kuli ogarnia zdumienie.

— Aj-aj-aj! — mówi mama i tak się dziwi, że aż rękę przykładą do głowy — Juruś sam idzie! aj-aj-aj!

— Juruś sam idzie — powtarza piesek i kiwa łebkiem, kiwa, kiwa. — Sam idzie — beczy baranek i ucieka na nóżkach, które się tak kręcą, kręcą, że baranek biegnie prędko, jak wózeczek Jurusia. — Sam idzie — mruży babci głosem parasolka, zła, że Jurerek nie wziął jej ze sobą na spacer. — Sam idzie — szepcą miękko pod nóżkami Jurusia wielkie kwiaty, wysuwające się z dywanu, i żółtymi i czerwonymi oczkami mrugają na Jurusia.

Jurusiowi coraz weselej. Ech! ech! ech! — śmieje się radośnie i chciałby nóżki postawić jeszcze lepiej, jeszcze wyżej, tak wysoko, jak wronka, co frrr... do lasu poleciała!

I natychmiast czuje Juruś, że znane dłonie chwytają go pod paszki, i już widzi własne buciczki, migające gdzieś na dole... i Jurusia ogarnia czarodziej-ski wir, w którym wszystko zatacza barwne, świetlane kręgi... Juruś leci, leci, ciepły wiew muska mu buzię, a w uszka wpadają dźwięki maminego śpiewu:

Koło, ko-ło młyn-skie...

Za-a cztery ryfi-skie...

A nóżki podnoszą kolanka, a kolanka podnoszą Jurusia, i Juruś idzie, idzie, idzie — sam...

— — — — —
Nagły trzask drzwiami, stuk wazy, stawianej na stole, i brzęk noży i widelców, rzuconych na stół z pośpiechem.

W świat czarodziejski Jurusia wpada ten brzęk, stuk, hałas i rozdziera promienną, tęczową zasłonę snu.

Próżno, próżno pajęczą tkanina usiłuje jeszcze zawrzeć się nad Juruśm... Przez jej wątle, poszarpane strzępy wdziera się natrętnie gwar osób wchodzących do jadalni i głośne odsuwanie krzesel...

Już, już, dociera do uszków Jurusia.

Główka bokiem wtulona w poduszczykę drgnęła, z pod tłuściutkiej, zaróżowionej od snu buzi wymyka się drobna rączka z odcisniętymi na niej zębami białej koszulki Jurusia...

Rączka opada bezwładnie na brzeg łóżeczka.

Mocno stulone ciemne rzęsy Jurusia zatrzepotały się raz po raz, jak skrzydełka motyla, uwięzionego na szybie okiennej. Juruś wysuwa drugą rączkę z pod kołderki i, chcąc odegnąć jakąś woń niemiłą, dochodzącą go z kuchni, całą piąstkę pakuje sobie w oczki.

Powieki się rozwierają, i w oczki wciska się brutalnie szeroka smuga gorącego światła, płynącego przez uchylone drzwi jadalni. Juruśmowi jest dziwnie nieswojo. Blaski, wonie, dźwięki nacierają nań ze wszystkich stron, odurzają go i wprawiają w stan dziwnego odrętwienia. Juruś nie wie, gdzie jest i czy jest wogóle. Czuje, że nóżki jego ciągle idą — a tu leżą i nie ruszają się wcale... Jakieś mgliste przypomnienie, że pod rączką było coś, coś, z czym Juruśmowi było dobrze i pewnie.

I chcąc odszukać to »coś«, Juruśm porusza rączką, ale paluszki jego, zamiast dotknąć ciepłej, gładziutkiej buzi mamy, natrafiają na brzeg zimny żelaz-

nego łóżecka. Juruś nagle pojmuje, że opuściło go coś najbliższego, coś koniecznego, coś, co było, a czego niema, coś, co jedynie mogło uwolnić Jurusia od tego mdłego, nieznośnego uczucia niepokoju.

I usteczka Jurusia zginają się żałośnie:

— Mama! mama! — woła z płaczem.

Tak codziennie żegna Juruś płaczem swój tęczyowy, promienny świat snu.

.....

— Juruś się zbudził!

Mama zrywa się od stołu i biegnie do drugiego pokoju.

Kwilenie Jurusia ustaje natychmiast. Słychać tylko ocałunki i radosne:

— Wyspał się Juruś? wyspała się dziecinka?

I w drzwiach jadalni ukazuje się mama z Jurusiem na rękach. Juruś musi być ciężki, zupełnie ciężki, bo twarzyczka mamy jest jeszcze różowsza, niż przed chwilą, a cała drobna jej postać wtył się pochyliła. Ale mama zdaje się nie czuć tego ciężaru, bo śmieje się do Jurusia, a w oczach jej błękitnych zapalają się radosne migotliwe gwiazdki srebrne.

— A jest Jureczek!

— Servus, Jurku!

— Jaki dziś Juruś różowy!

Kilka par rąk wyciąga się ku Jurusowi, ale Juruś instynktownie cofa rączkę i wierzchem przyciska

ją do białej sukienki. Na długich, chmurnie zmrużonych rzęsach drży maleńka łezka, w której odbija się blask słoneczny, zapalający żółto-krwawą łuną sosnowe ściany jadalni. Jurusia drażni ten blask i te głosy mówiące wszystkie naraz, które brzmią tak twardo, tak przenikliwie, i to sięganie po rączkę, której Juruś dać nie chce, i to, że Juruś czuje się jakiś inny... zupełnie inny... Juruś pamięta, że sam umiał nóżki stawiać i furr!.. latał za wronkami w powietrze, i nie wie, czemu teraz czuje się taki słaby i bezwładny, że z lękiem puszcza szyję mamina w chwili, gdy mama sadza go na wysokim krzesełku z poręczkami.

I zaledwie mama oddała się w stronę drzwi, Jurusia znowu ogarnia uczucie obcości i smutku, i choć w rozmowie i na twarzach osób otaczających stół zaczyna zwolna odróżniać wyrazy i uśmiechy, wyłączenie przeznaczone dla siebie, czółko jego jest ciągle lekko nad brewkami zmarszczone, a w ogromnych, ciemno-stalowych oczach błąka się wyraz jakby jakiegoś natężenia pierzchającej myśli. To przecież nie łatwo zrozumieć, jak to z jednego Jurusia zrobiło się dwóch Jurusiów i znowu z dwóch Jurusiów jeden Juruś.

— Juruś da rączkę tatusiowi?

Tak mówią do Jurusia wąsy i broda, a za brodą i za wąsami — głos znajomy...

Juruś zwolna odwraca główkę i nie spuszcza z oczu twarzy tatusia...

Potym nagłym, pewnym ruchem poznania kładzie rączkę na wyciągniętej dłoni ojca, drugą podnosi do

główki okrytej ciemnym puchem włosków, zwijających się w miękkich pęczkach ku górze.

Pociera główkę mocno raz i drugi.

I gdzieś z głębi malutkiego brzuszka wydobywa się ciężkie westchnienie.

Tak, Juruś westchnął.

A cały stół wybucha śmiechem.

Juruś jest tak pocieszny z tym wyrazem troski w maleńkiej twarzyczce — której jeden boczek jest koloru zarumienionej morelki — a drugi biały, jak najdelikatniejsza porcelana, z tym ruchem rączki, którym stara się odegnać złudę senną i ściągnąć istotę swoją do świata rzeczywistego, że nikt od śmiechu wstrzymać się nie może.

Tylko Juruś się nie śmieje. Podniósł brewki i patrzy po wszystkich twarzach — jakby chciał zapytać: co właściwie stało się tak zabawnego?

Stopniowo jednak twarzyczka jego zaczyna wyrażać zaciekawienie. W śmiechu, rozlegającym się w jadalni, tętnią jakieś znane Jurusiowi dźwięki... Coś jakby krzykliwe pianie kogucika i dzwonki baranków, zaganianych do obórki przez kulawego Bukieta, i miłe nadewszystko krakanie wronki, trzepiącej się na jedynym drzewie przed oknem.

Więc, kiedy wszyscy śmiać się przestali, Juruś zażądał:

— A — a!...

— Czego Juruś chce?

Nie rozumieją. Dziesięć zapytań:

— Może chlebka?

— Czy nalać wody Jurusiowi?

— Zaraz Juruś dostanie kaszki...

Napróżno Juruś potrząsa główką i z niechęcią odsuwa rączkami podsuwane mu przedmioty. Próżno, zniecierpliwiony niedomyślnością ludzką, usiłuje w jasnych słowach sformułować swoje życzenia. Z jego maleńkich, odętych gniewnie ustek wybiega ciągle jeden tylko wyraz:

— Ma-ma — ma-ma — ma-ma...

Nikt nie rozumie... nawet mama. Z miną stroskaną podsuwa Juruśowi talerzyk, powtarzając z przekonaniem:

— Ależ to kaszka, Jureczku, kaszka...

Wtedy Juruś opiera się mocno na poręczkach krzeselka, marszczy nosek w mnóstwo drobnych fałdeczków, przymruża oczki, wysuwa bródkę i, założwszy cztery dolne ząbki za cztery górne, przechyla wtył główkę:

— Ech! ech! ech! — daje hasło do śmiechu.

Wszyscy niepewnie spoglądają na Juruśa — jeszcze nie wiedzą, o co mu właściwie idzie.

— Ech! ech! ech! — po raz drugi wzywa pobudka Juruśa.

I nagle zrozumieli wszyscy, i wybucha jedna niepowstrzymana kaskada śmiechu.

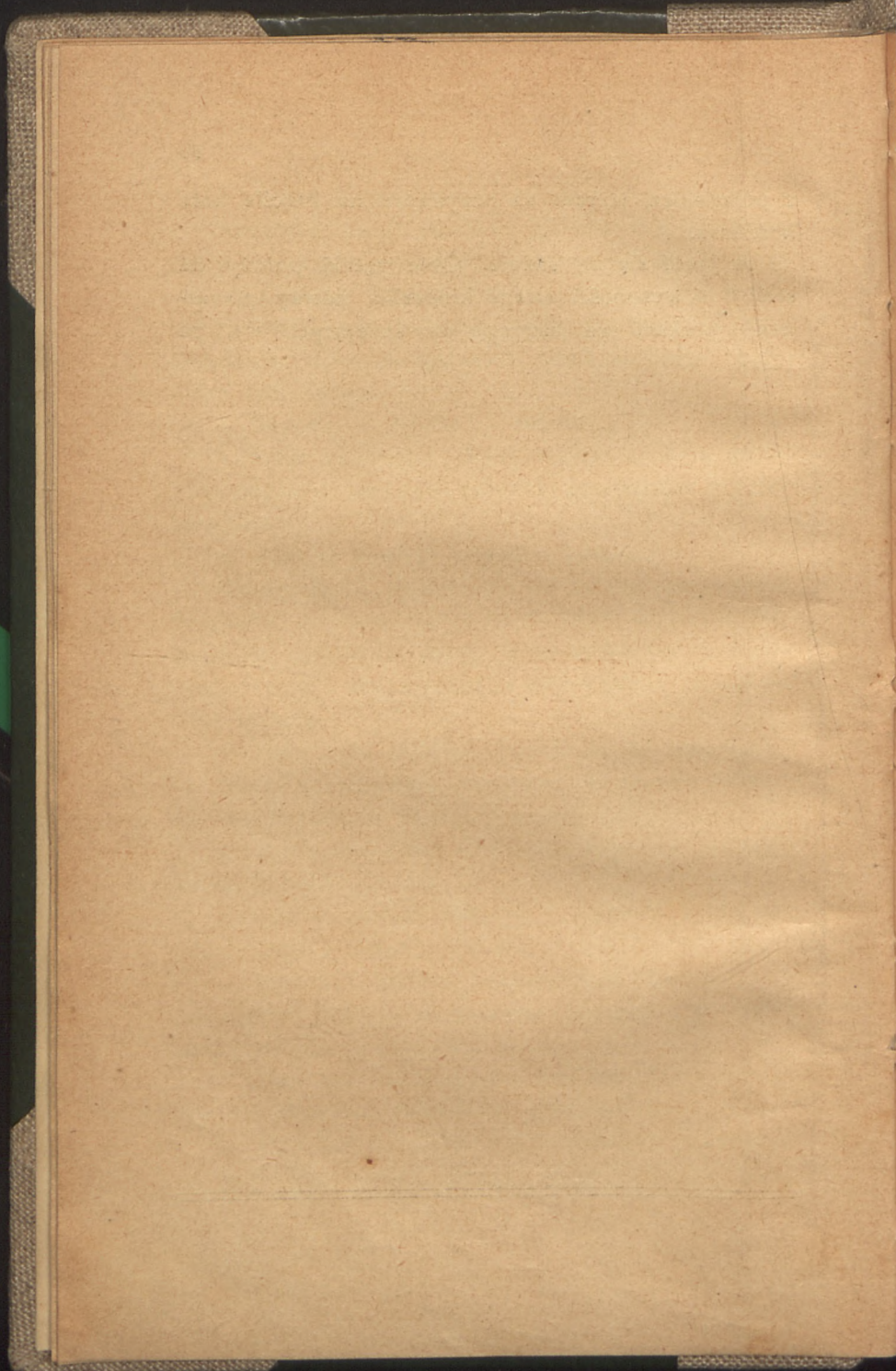
— Ha! ha! ha! — rozlegają się donośne, jak szczekanie Bukieta i beczenie baranków, poważne basy konsyljarza-doktora i tatusia.

— Ha! ha! ha! Jureczku! ha! ha! ha! — dźwięczy, jak dzwonek srebrzysty, głos mamusi.

— He! he! he! a to ci bąk ucieszny — skrzypi, jak koło przy studni, śmiech starej kucharki, która

z półmiskiem w ręku aż przysiadła na krześle koło kredensu.

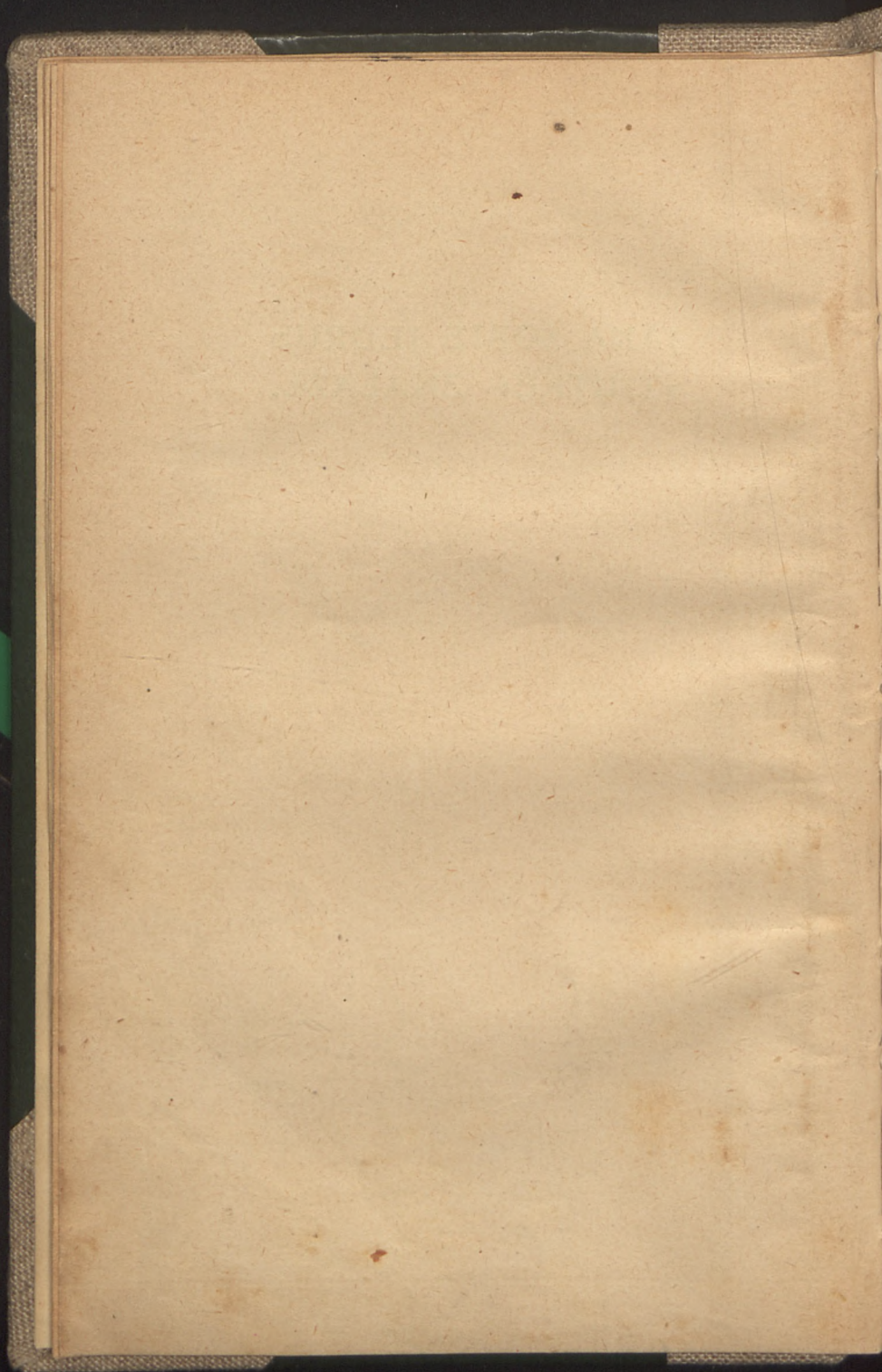
A Juruś się nie śmieje. Obie rączki położył na stole i z wysokości swego krzeselka patrzy poważnymi oczkami na każdego ze śmiejących się, po kolei.



JAKĄ SOBIE JĘDRUŚ
»TIUTKĘ« ZNALAZŁ.

Juncie.





Jędrus jest malutki, ma rumianą, często zamorusaną buzię. Brzuszek ma wystający, oczki niebieskie, któremi ciekawie po świecie się rozgląda. Jasne, jak len, włoski, raz na niedzielę gruntownie myte przez Jagnę, leżą posłuszne, jak przylepione do główki, ale na codzień... pozał się Boże! kręcą i zwijają, w niesfor-nych loczkach opadają na tłusty, opalony karczek, na wietrze wciskają się do oczków i buzi.

— Wojtek, trzaby wziąć Jędrka do miasta — mówi Jagna do męża.

— Bez co?

— Żeby mu tę główinę ostrzygli.

— A jużci.

I na tym się kończy. Kto tam ma czas myśleć długo o czuprynie Jędrusia, kiedy tyle roboty w domu i w polu, a od miesiąca kwili w kolebeczce ma-leńka Marysia.

Od przyjścia na świat Marysi dużo zmian zaszło w życiu Jędrusia. Choć Jędrus nie ma dwóch lat jeszcze i nie bardzo rozumie, co i dla czego się dzieje, przecież odrazu zauważył, że jego siostrzyczka zajęła w domu to miejsce, które dotychczas niepodzielnie do niego należało. Z początku Jędrus starał się krzykiem dochodzić praw swoich. Krzyczał, kiedy mama

układała Marysię w jego kolebeczce, krzyczał, widząc, że mama bierze Marysię na ręce i idzie w pole zanieść tatusiowi jedzenie, a jemu każe siedzieć przy Burce w izbie; że jednak na krzyk jego matka odpowiadała stale:

— Cicho, Jędrus! bo dostaniesz!

Jędrus przestawał płakać, nie ze strachu, bo mama jakoś groźby nigdy nie spełniała, ale dla tego, że oddawna już spostrzegł, że kiedy nikogo, prócz Burki, niema w izbie, to płakać się nie opłaci.

Teraz już przywykł do tego, że wszyscy daleko mniej nim się zajmują, niż dawniej, kiedy Marysi jeszcze nie było w chacie, zdaje się, że mu się to nawet podoba. Nie napiera się już, żeby go mama brała na ręce, zato coraz częściej i coraz odważniej próbuje stawać na własnych nóżkach. Z początku, co się podniósł, bęcl i już znowu siedzi na ziemi, aż któregoś dnia wpadł na doskonały pomysł. Obiema rączkami złapał Burkę za szyję i, uwieszony na niej, przebierał co sił nóżkami. Tak przeszedł się kilka razy po izbie i od tej chwili zrozumiał, że najlepiej zawsze chodzić, trzymając się czegoś, co się rusza. Jeżeli Burki nie było przy nim, chwycił się nogi taty i, uczepiony z całej siły, próbował maszerować razem z tatą, potym równie pomocną okazała się spódnica mamy, i ani się Jędrus spostrzegł, kiedy nauczył się chodzić doskonale.

Mama i tato cieszyli się bardzo jego postępami, a kiedy już o własnych siłach przeszedł od skrzyni, malowanej w czerwone kwiaty, aż do samego pieca, tata porwał go raz na ręce i podrzucił w górę tak

wysoko, że włoski Jędrusia dosięgły prawie pułapu izby.

— Tęgi chłopak, Jagna! niedługo patrzeć, gesi nam paść będzie! — wykrzyknął, stawiając rozradowanego Jędrusia na ziemi.

Jędrus zaznajomił się już z całą izbą. Właził pod łóżko, gdzie na garstce słomy Burka dawała ssać »ciuciom«, i pod piec, skąd wysuwał się zamorusany jak kominiarz; dotarł nawet do koszyka, ukrytego między piecem a nieckami, w którym stara kwoka wygrzewała pod skrzydłami malutkie kaczątko. Jędrus wyciągnął rączkę i powiedział »pa-a« kwoce, prosząc, żeby mu jedną »tiutkę« dała, ale kwoka tak się nastroszyła i tak groźnie gdaknęła, że Jędrus czymprędzej uciekł. Żółciutkie kaczątko tak mu się jednak podobały, że nie przestał myśleć o nich; gdy w parę godzin później kwoka oddaliła się na drugi koniec izby, a dwoje kaczątek chlapało się w wodzie, którą im w czerep gliniany z rozbitego garnka nalała Jagna, Jędrus zamachnął się i wprawdzie upadł na brzuszek, ale kaczątko złapał. Bojąc się, żeby mu go kwoka nie odebrała, z trudnością wgramolił się na pierzynę, leżącą na łóżku, i tu dopiero zaczął kaczątko całować i dusić w tłustych swych rączkach.

Byłby je napewno uśmiercił, gdyby nie Jagna, która, usłyszawszy pisk, podbiegła do łóżka i, mimo protestów Jędrusia, odebrała mu nawpół tylko żywe kaczątko i nawet surowo go złajała, zakazując, żeby nigdy więcej nie śmiał łapać »tiutek«.

Bardzo się to Jędrusowi nie podobało. Niczym tak dobrze się nie bawił, jak »tiutkami«, a »tiutką«

było dla niego każde żywe, małe i ruszające się stworzenie. Rozróżniał »tiutkę-kicię«, o miękkim, czarnym futerku i »tiutki-ciucie« — dzieci Burki, z któremi przewracał się po podłodze. To też na słowa mamy rozplakał się serdecznie, potym zesunął się z łóżka i, odstąpiwszy aż na środek izby, machnął kilkakrotnie rączką, wołając »be! be!« Niewiadomo jednak, czy chciał okazać niechęć mamie, że mu zabawkę odebrała, czy kaczątka, że nie poznało się na jego pieszczotach.

Niedługo potym Jędrus po raz pierwszy sam odważył się wyjść na podwórkó. A było to tak:

Mama, wychodząc w pole z Marysią na rękach, jak zwykle posadziła Jędrusia na łóżku, w rączkę wetknęła mu wózek, zrobiony przez tatusia, i Burce kazała pilnować dziecka. Jędrus chciał iść za mamą, krzyczał i płakał, ale łąka była za daleko i mama poszła sama, zamknąwszy drzwi za sobą. Jędrus przestał płakać natychmiast, pobiegł do drzwi i wszelkimi sposobami próbował je otworzyć. Bił najpierw jedną piąstką, potym obiema, wsadził nawet paluszek w dziurkę od sęka — wszystko napróżno! Jędrus już wiedział, że, chcąc drzwi otworzyć, trzeba nacisnąć klamkę z góry; cóż, kiedy klamka tak wysoko, a Jędrus taki malutki! Znudzził się wkońcu i powrócił do wózka i Burki. Ale i z Burki niewielka była pociecha, liznęła wprawdzie Jędrusia po zapłakanej buzi, co chwila jednak odbiegała od niego, węsząc niespokojnie po wszystkich kątach. Dwoje szczeniąt toczyło się po izbie, Burka szukała trzeciego. Nagle doleciał ją przytłumiony pisk. Burka nastawiła uszy... Pisk

dochodził ją z za drzwi zamkniętych. Widocznie psiątko dostało się do sieni, i tu je przypadkiem zostawiła Jagna. Burka zaskomlała żałośnie, siadła na tylnych łapach pod drzwiami, niespokojnie myrdając ogonem. Obejrzała się raz i drugi na Jędrusia, szczeknęła, a z za drzwi odpowiedziało jej szczeniátko. Burka nie wytrzymała. Raz jeszcze przypadła do Jędrusia, polizała go znowu zamasyście, powąchała szczeniátko, obiegła dwa razy izbę dookoła, wkońcu dała susa do drzwi, przednimi łapami skoczyła na klamkę, drzwi z trzaskiem się otworzyły, i Burka dopadła swego szczeniátko, które, nie mogąc się wygrzebać z za beczki z kapustą, piszczało żałośnie.

Ach, jakie serdeczne było powitanie! Burka, skomląc w najtkliwszy sposób, lizała psiątko po główce, grzbiecie i brzuszku. Potym ostrożnie wzięła je w mordę i odniosła do izby, gdzie je w najdalszym kącie pod łóżkiem złożyła. Upewniwszy się, że żadne niebezpieczeństwo dziatwie już nie grozi — wyłazła z pod łóżka, ażeby wrócić do Jędrusia. Ale Jędrusia już w izbie nie było. Ujrzawszy drzwi otwarte, przypomniał sobie mamę, czymprędzej rzucił wózek, którym się bawił, dźwignął się z ziemi i za chwileczkę był już w sieni.

— Ma-ma! — zawołał głośno, ale nikt mu nie odpowiedział.

Wtedy Jędrus poszedł jeszcze dalej. Przeszedł sionkę i zatrzymał się przed wysokim progiem otwartych naościęz drzwi, które wiodły na podwórze.

Rączkami oparł się o próg i rozejrzał się po świecie.

— Ma-ma! — zawołał po raz drugi.

Ale, że i tym razem tylko kaczkę zakwakały nad sadzawką, Jędrus zrozumiał, że mama musi być bardzo daleko, skoro na wołanie dziecka nie przychodzi. Przestał wołać — ale do izby nie wrócił. Przeciwnie oparł się mocniej jeszcze rączkami o próg, który mu sięgał prawie po brzusek, przełożył najpierw jedną nóżkę, potem drugą i, czerwony jak burak z wysilenia, ze zdziwieniem zobaczył, że już jest na podwórzu.

W tej chwili nadbiegła Burka. Dopiero teraz sobie przypomniała, że gospodyni kazała jej pilnować dziecka. Jak przedtym do swego szczeniątka, tak teraz przypadła do Jędrusia, polizała go najpierw, a potem raz i drugi zlekka pociągnęła za koszulinę i skomlać dawała mu do zrozumienia, że koniecznie powinien wrócić do izby. Z gospodynią niema żartów! gotowi obydwójce dostać bicia za to, że bez pozwolenia wyszli z chałupy, a Burka to już z pewnością. Wszystko to Burka tłumaczyła po swojemu Jędrusiowi, ale chłopczyzna uradowany, że słońce tak ciepło grzeje i że mu się pierwsza samodzielna wyprawa tak doskonale udaje, ani myślał słuchać Burki, a nawet objął ją za szyję i, ciągnąc co sił w stronę sadu — wołał: — Chodź! chodź!

Cóż miała robić Burka? Niechby Jędrus był nawet taki, jak Marysia, spróbowałaby może wziąć go za karczek i pomimo jego woli odnieść do izby. Ale Jędrus był już duży, miał mocne nóżki i rączki

~~7830~~

BIBLIOTEKA I CZYTELNA
3724
~~NIE NISZCZYĆ KOSZYK~~

i potrafiłyby się obronić przed przemocą. Biednej Burce nie pozostawało nic innego, jak, zwiesiwszy smutnie ogon w poczuciu spełnionej winy, podążyć za Jędrusiem do sadu.

Jędrus biegł naprzód, podnosząc niepewnie bose swe nożęta, aż dopadł do gruszy, pod którą mama zwykle układała do snu Marysię w kolebce. I tu nie było nikogo; zato wiaterek muskał rozgrzaną buzię Jędrusia, rozwiewał mu włoski i koszulinę. Słoneczko przeciskało się przez zielone liście drzew owocowych i złotemi płatkami znaczyło murawę. Jędrus »bęcnął« na miękką trawkę, a Burka zaraz ułożyła się obok niego. O dużo, dużo przyjemniej było tutaj, niż w dusznej, ciemnej izbie. Wszystko się dziś Jędrusiowi wydawało jakieś inne, większe, nieznanne, może dla tego, że po raz pierwszy sam zaszedł tak daleko. Niedługo pozostał pod gruszą. Ledwo odsapnął troszeczkę, już znowu zerwał się i biegł od drzewa do drzewa, ze śmiechem chwycił się rączkami pni chropawych, padał i podnosił się — a krok w krok biegła za nim Burka. Tak przebiegli sad, gdy naraz Burka nastawiła uszy, szczerknęła, z wyciągniętą mordą skoczyła ku ścieżce, odskoczyła znowu. Jędrus, biegnący tuż za Burką, zobaczył, że środkiem ścieżki coś sunie powolutku:

— Tiutka! — krzyknął radośnie, wyciągając obie rączki.

Tiutka była szara, miała cztery nogi. Dwie tylne wolno, niezgrabnie wlokła za sobą. Patrzyła na Jędrusia wyłupiastemi oczami i wcale przed nim nie uciekała. Burka poszczekiwała niespokojnie, parokrot-

160 65.

Biblioteka
4804.
w Pruszkowie

nie przyskakiwała do »tiutki«, jakby ją chciała ze ścieżki usunąć.

— Nie luś! — zawołał Jędrus, uszczęśliwiony, że wreszcie znalazł »tiutkę«, która przed nim nie ucieka i której mu nie odbierze ani kwoka, ani mama.

— Tiutka ciacia — wymówił pieszczotliwie, poczym przysiadł na ścieżce, obiema rączkami złapał »tiutkę« i, wsadziwszy ją sobie do koszulki, której brzeg mocno w rączkach przytrzymał, co sił zawrócił do domu. Burka pognąła za nim. Z wielkim trudem przedostał się Jędrus do izby i zasiadł w kątku, nie przestając ani na chwilę tulić do siebie zdobyte »tiutki«.

Tak był nią zajęty, że nie zwrócił prawie uwagi na wejście taty i mamy z Marysią. Zato Burka powitała oboje gospodarzy radosnym szczeniem, łaszaniem się, myrdaniem ogona, jakby pragnęła odwrócić ich uwagę od otwartych drzwi. Jagna zaniepokoiła się w pierwszej chwili, myśląc, że Jędrus wyszedł z izby, ujrawszy go jednak siedzącego niezwykle spokojnie w kątku, odepchnęła łaszącą się Burkę, ułożyła Marysię w kolebce i zakrzętnęła się po izbie, ażeby podać obiad.

Wojciech rozsiadł się wygodnie na ławie, ręce oparł o stół i czekał, aż żona wyleje kwaśne mleko na miskę.

— Jędrus, a pódz ino do tatusia, będziemy jeść — zawołał na małego.

Jędrus ani się ruszył.

— Wojtek, zażryj ino, pewnikiem Jędrus chycił

kaczątka i zadusi, jak tamto, com je wczoraj ledwo odratowała.

Jędrus usłyszał słowa mamy i mocniej przycisnął do siebie swój skarb:

— Ne! tiutka moja! — krzyknął płaczliwie.

— Ej, Jendrus, oddaj tiutkę po dobremu, bo dostaniesz — zagroziła matka, stawiając miskę na stole.

— No chodź, Jendrus, chodź, pokaż tiutkę tatusiowi — pokojowo przemówił Wojciech.

Jędrus spojrział na matkę, potem na ojca i widocznie do tatusia poczuł więcej zaufania, bo, mocno w koszulinie przytrzymując swoją zdobycz, okrążył Jagnę zdaleka i podszedł do Wojciecha.

— Tiutka moja — rzekł, niespokojnemi oczkami patrząc na tatusia.

— Twoja, twoja, synusiu, pokaż ją ino tatusiowi — odparł Wojciech i rozchylił koszulkę dziecka.

Hyc! hyc! i pod same nogi Jagny wyskoczyła ogromna ropucha.

— Jezusie najśodszy! — wrzasnęła kobieta, odskakując na środek izby.

— A to ci se piękną tiutkę znalazł — zaśmiał się serdecznie Wojciech.

— Wojtek, zabier ją! Zabier na łopatę i ciśnij do pola! patrzeć na to szkaradztwo nie mogę! — wołała Jagna, bojąc się zbliżyć do stołu, przy którym rozsiadła się ropucha. — Jendrus, nie rusz, to be! — krzyknęła tak gwałtownie, że Jędrus, który się już wysunął, ażeby »tiutkę« swoją odebrać, cof

nął się i szeroko rozwartemi oczkami patrzył na mamę, nie mogąc zrozumieć, co jej się nagle stało.

— Tiutka ciacia! — zapewniał, rozkładając rączki.

— O jakież to głupie dziecko! — jęknęła matka — i ropucha dobra mu do zabawy.

Wyniósł Wojciech łopatę z komory: co ropuchę weźmie na nią — ropucha hyc! i już jest znowu na ziemi. Jagna darła się wniebogłoso za każdym poruszeniem ropuchy, która, jakby na złość, zawsze spadała jej pod nogi. Burka szczekała niespokojnie, a Jędrus, któremu nadzwyczaj podobał się żółty brzuszek »tiutki«, nakrapiany ciemnymi plamkami, śmiał się i klaskał w rączki, uradowany, że jego »tiutka« takie wywołuje wrażenie.

Po parokrotnych bezowocnych próbach, udało się wreszcie Wojciechowi utrzymać ropuchę na łopacie i wynieść ją na dwór.

Jędrus pobiegł za nim:

— Moja tiutka! — zawołał nagle zaniepokojony. Bo może tato nie wie, że to jest »tiutka« Jędrusia, którą Jędrus sam znalazł i sam sobie przyniósł ze sadu.

Ale tato szedł naprzód i zatrzymał się dopiero przy sadzawce, która miała wodę ciemną i cuchnącą i nazywała się »gnojówką«.

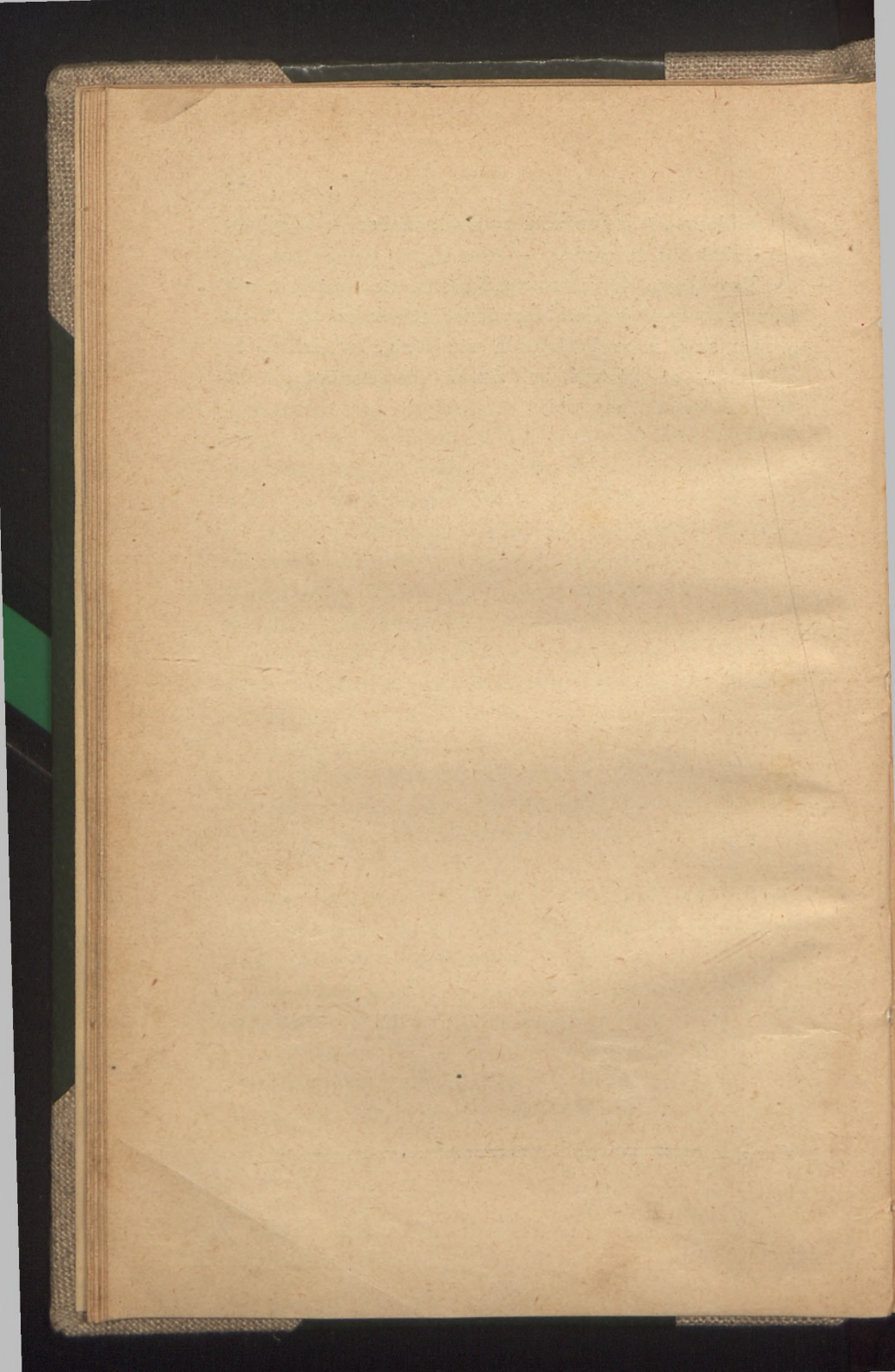
— Moja tiutka! — powtórzył Jędrus i rozpaczliwie uczepił się tatowego buta.

— Tiutka be! — odpowiedział śmiejąc się tato i chlup! rzucił ropuchę do gnojówki.

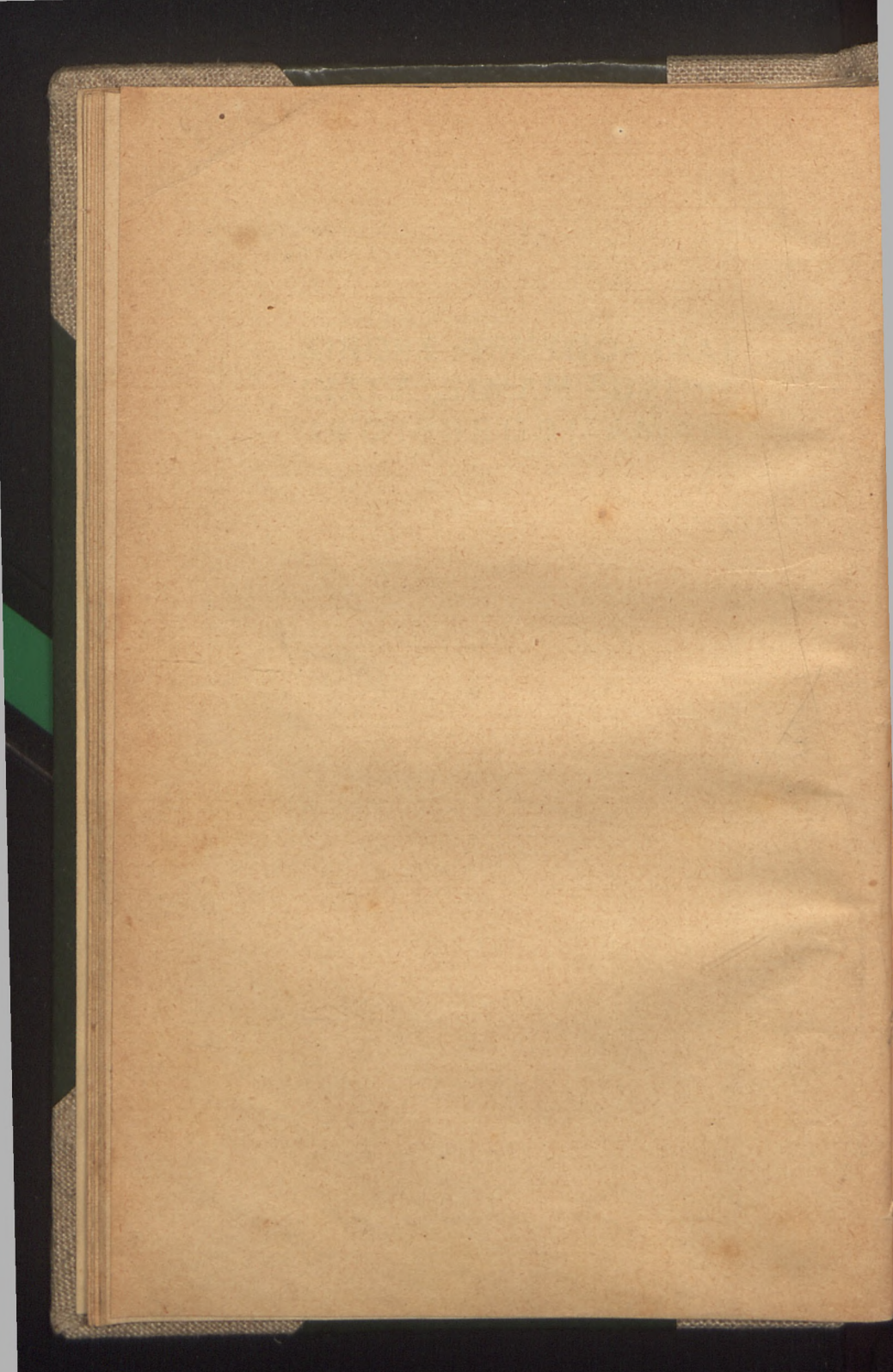
Wtedy Jędrus nagle zrozumiał, że już mu »tiutki«

nie oddadzą, i w poczuciu wyrządzonej sobie krzywdy rozplakał się żałościwie.

Zato Jagna była uszczęśliwiona, że pozbyła się nieproszonego gościa. Naprózno jednak łamała sobie głowę, skąd ropucha mogła się wziąć w izbie. To pewna, że ani Jędrus, ani Burka nie dopomogli jej do rozwiązania zagadki.



JAKI »ODPUST« ZROBIŁ
JĘDRUŚ MAMIE, A JAKI
MAMA JĘDRUSIOWI.





Siedzi Jędrus na przyźbie chaty i bardzo jest zadowolony. Ledwie dziś oczki otworzył, zmiarkował odrazu, że wszystko w chałupie dzieje się inaczej, niż codziennie. Czuje Jędrus, że jest dzisiaj ważną osobą, daleko ważniejszą od Marysi, na którą mama ledwo, że zwraca uwagę. Bo i jakże? Marysia leży sobie w kolebeczce, jak zwykle, nawet muchy siadają na nią, a mama nic ich nie odgania, tylko Jędrusia myje, czesze i opowiada mu, jak to Jędrus pójdzie z tatusiem i mamą daleko het! — do kościoła na odpust. Jędrus nie wszystko rozumie, ale skacze w maminyh rękach i woła radośnie: — het! puść! puść! — domyślając się, że będzie to coś bardzo przyjemnego.

Ile razy mama włoży Jędrusiowi niebieską sukieneczkę w białe kwiatki, a pończoszki i buciki na nóżki, tyle razy Jędrus nie potrzebuje wcale chodzić, bo to tato, to mama naprzemian go niosą na rękach. U taty jest lepiej, choć czasem wasy ukują buzię Jędrusia, jak szpileczkami, ale zato tato trzyma mocno, tak że Jędrus może nawet ruszać się i skakać na jego ramieniu. Potym niesie go mama; u mamy jest znowu bardzo ciepło, a chustka wełniana tak mocno pachnie ziołami, że Jędrus, kołysany miarowym ruchem maminyh ramion, wspiera główkę na

jej piersi i budzi się dopiero, kiedy go mama postawi na ziemi i, ocierając pot z czoła, mówi:

— Zbudź się, Jędrus, już kościół.

I znowu tata bierze go na ręce i wnosi do dużej, dużej izby. Jędrus patrzy i widzi przed sobą i wszędzie dookoła same głowy, głowy, aż mu się we własnej głowinie mieszać zaczyna — aż tu mama mówi do niego pocichu:

— Przeżegnaj się, Jędrus, to Bozia.

Więc kładzie Jędrus rączkę na czubek główki i mówi »imi ocia«, potym na brzuszek »sina«, na ramieniu »dusia«, jeszcze na drugim »fiszento« i wkońcu »ament«. Mama uśmiecha się do niego, a baby wkoło szepczą, że Jędrus jest bardzo grzeczny i mądry, chociaż taki maleńki; potym patrzy Jędrus na płomyki świec, migocących gdzieś daleko, słyszy, jak grają organy, słyszy, jak tata śpiewa grubo, grubo, a mama cieniutko, cieniutko, a potym wszystko zlewa się w jeden chaos: śpiewu, dzwonienia dzwonek, buczenia organów i mocnej woni kadzidła, którym oszołomiony Jędrus zasypia znowu i budzi się dopiero w domu.

Wszystko to Jędrus bardzo lubi. Więc kiedy go mama posadziła na przyźbie i powiedziała: »Grzej se, Jędrus, główkę do słońeczka, żeby ci włoski uschły, a nie odchodź nikaj, póki się mama nie wróci, bo dostaniesz!« — Jędrus wyprostował się w swojej niebieskiej sukieneczce i spojrzął z zadowoleniem na swoje nóżki w białych pończoszках i buciczkach nowych.

Potym popatrzył za mamą, która miała dzisiaj aż pięć spódnic nakrochmalonych na sobie i była taka

szeroka, że ledwo w drzwi chaty zmieścić się mogła. Mama weszła do izby, wyniosła Marysię i oddała ją sąsiadce, która obiecała przypilnować dziecka. Potym znikła w obórcie, a Jędrus patrzył za Burką, która, biegnąc za sąsiadką, niespokojnie szczeakała, nie mogąc zrozumieć, jakim prawem osoba obca gospodarskie dziecko niesie do swojej chałupy.

Nieruchome siedzenie prędko się jednak sprzyrzyło Jędrusiowi. Oglądnał się, czy mamy blisko niema, potym spuścił jedną nóżkę — drugą, i szybkim ruchem zesunął się na ziemię. Teraz dopiero poczuł, że buciczki nie są przyjemnym wynalazkiem. Nóżki się w nich krzywiły i ani rusz nie chciały iść tak, jak chciał Jędrus. Stawia Jędrus nóżkę prosto, nóżka wygina się do środka i bęc! już jest Jędrus na ziemi. Raz i drugi się przewrócił, ale po paru próbach doszedł aż do kaczek, wygrzewających się na słońcu, na brzegu sadzawki. Na widok Jędrusia wszystkie kaczki wrzasnęły jednogłośnie: »kwa! kwa! kwa!« — a Jędrus się przeląkł i nawrócił w drugą stronę. Nagle stanął.

— Chodź, chodź — zawołał ktoś wyraźnie na niego.

Słucha Jędrus, ogląda się, nikogo nie widzi.

— Chodź, chodź — woła znowu głos jakiś, jak-gdyby z sadzawki.

Przykucnął Jędrus na brzegu, rączkami oparł się o kolanka i patrzy w brunatną wodę, chce dojrzeć, kto go tak ciągle woła.

A z wody wychyla się łebek z wyłupiastemi oczkami i szeroko rozwiera gardziel.

— Ko-a! ko-a! — woła na Jędrusia.

Patrzy Jędrus i nagle przypomina sobie »tiutkę«.

— Moja tiutka! Ciacia tiutka! — woła z radością. — Dobra tiutka! Nie zapomniła Jędrusia, choć ją tato wrzucił do gnojówki, i woła teraz, żeby Jędrus przyszedł się z nią bawić.

— Ko-a — skrzeknęła znowu »tiutka« i podpływała tuż, tuż, do samego brzegu.

Jędrus zapomniał o wszystkim. O sukience i buciezkach nowych, o odpuście i zakazie mamy — chciał tylko zaraz, koniecznie, ale tak koniecznie mieć znowu swoją »tiutkę«. W mig zesunął się z brzegu: chlup i już był w wodzie...

Szczęściem, Jagna, wracająca z obórki z pełnym skopkiem udojonego świeżo mleka, dostrzegła niebieską, wykrochmaloną sukienkę synka, unoszącą się nad wodą, jak balon.

— Rany Boskie! — krzyknęła i, rzuciwszy skopek na ziemię, jak stała, rzuciła się ku sadzawce.

Woda nie była głęboka. Jagnie nie sięgała nawet do pasa, dość jej jednak było, ażeby utopić dwuletnie dziecko, to też, kiedy Jagna, chwyciwszy Jędrusia w ramiona, dostrzegła jego zsiniałą twarzyczkę i zamknięte oczki, serce zatłukło się w niej z przerażenia na myśl, że przybyła za późno.

Napół przytomna, wpadła do izby, wylała mu z buzi cuchnącą wodę, położyła na ławie i, porwawszy ścierkę, wiszącą nad kominem, jak nie zacznie go wycierać do sucha! — w jednej chwili ciało dziecka przybrało barwę różową, Jędrus otworzył oczki i zawołał: »Ma-ma!«

— Mama! Mama, robaczku mój najśladzsy! — krzyknęła Jagna i, porwawszy w objęcia odratowane dziecko, zaczęła je ścisnąć i całować, a wkońcu z radości w taki płacz uderzyła, że aż Wojciech wyszedł z komory, chcąc się dowiedzieć, co się stało.

Na progu stanął i spojrzął. Cała izba zalana była gnojówką, a Jagna, szlochając, tuliła w objęciach golutkiego Jędrusia.

Popatrzył Wojciech i pokiwał głową.

— W gnojówkę wleciał? — zapytał po chwili.

— J-j-jużci — odpowiedziała żona i nagle, ujrawszy męża gotowego do drogi, w odświętnej sukmanie białej, z książką do nabożeństwa w ręku, przypomniała sobie odpust.

Spojrzała po sobie i teraz dopiero spostrzegła, że ze wszystkich pięciu spódnic, które z takim trudem prała i prasowała, przygotowując je na odpust, ciekną strugi brunatnej wody, że sukienka i buczki Jędrusia zniszczone są na nic, i zapłakała jeszcze rzewniej.

— Oj Jendrus, zrobiłeś ty mamie odpust, zrobiłeś!

Zafrasował się Wojciech i poskrobał w głowę. Żal mu było zostawić żonę w domu, że jednak święto było wielkie, a odpust raz do roku tylko, westchnąwszy, sięgnął po czapkę, wiszącą na gwoździu, ozdobioną dużą różą z paciorek — i wyszedł.

Jagna, płacząc ciągle, odprowadziła go do wrót. Wojciech zatrzymał się jeszcze.

— Trzaby, Jagna, dać Jędrkowi naukę — rzekł.

— Jużci, wiem, że trza.

Zaparła wrota i powróciła do izby, ocierając oczy rękawem koszuli.

Tu spojrzała na Jędrusia i, uspokoiwszy się, że przymusowa kąpiel w gnojówce nie pozostawiła żadnych śladów na różowej buzi synusia, z westchnieniem przebrała się w codzienną, dobrze już zniszczoną spódnicę i fartuch, nalała wody na balję i wzięła się do prania spódnicy, fartucha i sukienki.

Jagna prała i prała, raz wraz spoglądając na Jędrusia. Wypraną bieliznę rozwiesiła na płocie, podniosła porzucony skopek, z którego mleko szeroką strugą rozlało się po podwórku, a potem poszła do sąsiadki, ażeby odebrać Marysię.

Jędrus tymczasem biegał po izbie, jakby nigdy nic; uszczęśliwiony, że się pozbył sukienki, koszulki i bucików, czuł się swobodny, jak nigdy, i cała izba rozbrzmiewała jego śmiechem. Gramolił się na łóżko i zjeżdżał po pierzynie na dół, tarzał się po ziemi z Burką, wtulając mokrą, rozwichrzoną główkę w jej miękkie kudły.

Jagna nie wracała dobrą chwilę. Musiała opowiedzieć sąsiadce całe zajście...

Jeszcze raz spłakała się nad zniszczoną przyodziewą, a kiedy, powracając do chaty, usłyszała odległy dzwon kościelny, wzywający »naród« na sumę, serce jej ścisnęło się takim żalem, że musiała mu dać jakieś ujście. Szybko ułożyła Marysię w kolebce i zwróciła się do Jędrusia:

— Jędrus, pódź ino haw — zawołała i, wzięwszy małego naguska na ręce, zaniósła go nad sadzawkę. Tu się zatrzymała i, przyklękawszy, postawiła Jędrusia na ziemi.

— Widzisz, Jędrus — rzekła — mówiła ci mama,

żebyś się nie ruszał z chałupy, bo dostaniesz. Nie słuchałeś mamy i wleciałeś do gnojówki. Tak ci mama musi teraz dotrzymać, co ci obiecała. Zapamiętasz se?

Ale zanim Jędrus zdążył kiwnąć główką na znak, że zapamięta, obie nóżki jego znalazły się w powietrzu, a buzia na szorstkim fartuchu mamy...

...I dostał Jędrus taką »naukę«, że aż ją echo w podwórku rozniosło.

Dostał za to, że nie posłuchał mamy, i za to, że wpadł do gnojówki. Dostał za mamin przestach, za zniszczoną sukienkę i buciczki, dostał za skopek wylanego mleka, dostał za pięć spódnic maminych i za to, że zamiast pójść na odpust, mama w takie wielkie święto prac w izbie musiała.

Rozkrzyczał się Jędrus wniebogłosey, a mama, odniosłszy go do izby, powiedziała jeszcze:

— Nie krzycz, Jendrus, nie krzycz, a ciesz się, że tato poszedł do kościoła, boby ci jeszcze poprawił.

Oj, żeby Jędrus umiał mówić, powiedziałby mamie, że już dostał tak dobrze, że i poprawiać nie potrzeba. I powiedziałby mamie, że gdyby tata Jędrusiowi nie byli »tutki« odebrali, nie byłby jej Jędrus szukał w gnojówce.

Ale Jędrus nie umiał jeszcze powiedzieć tego wszystkiego i tylko płakał coraz rzewniej i coraz żałośniej.

Jagna krzątała się po izbie i nadrabiała miną, wkońcu jednak serce jej zmiękło. Podbiegła do łóżka i wzięła Jędrusia na ręce.

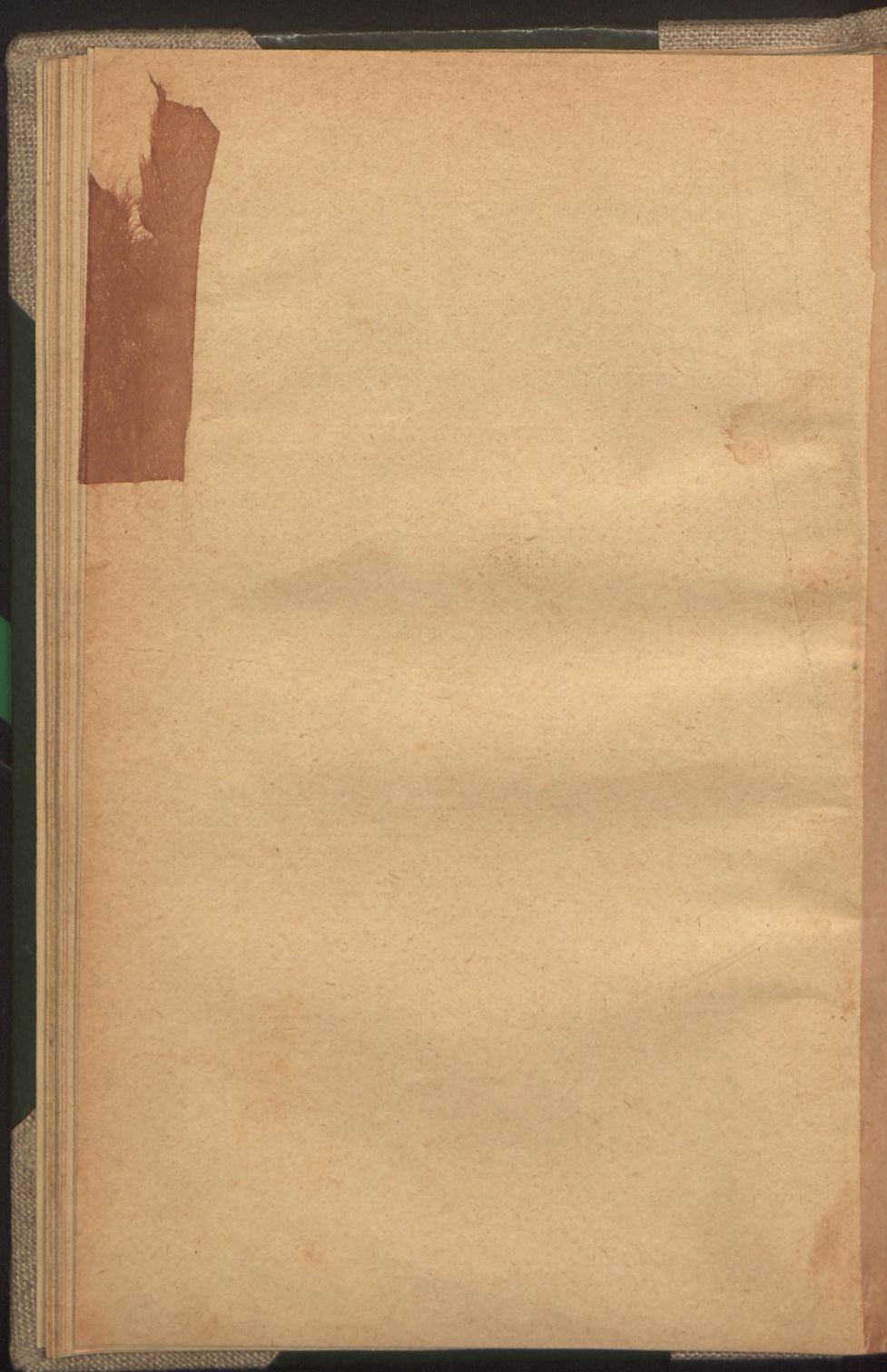
— Cicho, cicho, syneczku — mówiła, całując go po zapłakanej buzi i tuląc go do piersi. — Nie ukrzyw-

dziła cię mama, ino ci dała naukę, żebyś se naza-
wsze zapamiętał, że nad gnojówkę ci chodzić niewolno.
Nie drzyj się, Jendruś, nie drzyj, bo za tylachną szkodę
nie takby cię sprac wypadło. Ino że mama ma wy-
rozumienie, że tę głowinę masz młodą, to i pomy-
ślenia w niej nijakiego. Nie płacz, synusiu, nie płacz,
bo choć cię mama dzisiaj wybiła, to i tak swego Jend-
rusia kocha.

Całowała go i tuliła, a Jędrus zmęczony krzy-
kiem i płaczem oparł głowinę na jej piersi, rączkami
objął mamina szyję i, ukołysany jej pieszczotami,
zwolna się uciszył i zasnął.

Wtedy Jagna ostrożnie zanosła go na łóżko
i okryła starannie pierzyną. Potym ze skrzyni malo-
wanej w kwiaty wyjęła dużą książkę do nabożeństwa
i, ukląwszy przed oknem, z którego dojrzeć można
było kościółek z wieżyczką, zbudowany daleko, na
wzgórzu — pocałowała książkę pobożnie i półgło-
sem zaczęła odczytywać modlitwy, w takt kiwając
głową.

JAK SIĘ TO JĘDRUŚ
OPIEKOWAŁ MARYSIĄ.





iężkie czasy nastały teraz dla Burki. Gospodarz i gospodyni całe dni spędzali przy sianie, a że łąka była dość daleko od chałupy, bali się na tak długo zostawić dzieci same. Brał więc Wojciech grabie na jedno, a Jędrusia na drugie ramię. Jagna dzbanek z wodą i Marysię w poduszczyce i płachcie i dalejże na łąkę! Ach, cieszył się Jędrus, cieszył, aż skakał z radości na ramieniu tatusia, zapominając o Burce, którą zostawiono w domu dla pilnowania gospodarstwa. Biedna Burka, widząc zbierających się gospodarzy, jak opętana biegała po całym podwórku: raz wraz chwytła w mordę któreś szczenię, pragnąc z całą działawą podążyć za gospodarzami, a właściwie za Jędrusiem i Marysią, do których najsilniejszą czuła przynależność. Ale szczenięta były za ciężkie, więc Burka skomlała żałośnie nad nimi i znowu biegała do wrót, nie mogąc się rozstać z Jędrusiem. Jędrus wychylał z za pleców ojca rumianą, roześmianą buzię, machał na nią rączką i wołał: Bulta! ciucia! chodź! chodź! — nie rozumiejąc, jaką walkę słowa jego wywołują w sercu Burki. Na głos Jędrusia, Burka zrywała się i, porzuciwszy dzieci, biegała dobry kawałek za Wojciechem, usiłując jęzorem liźnąć bosą nóżkę Jędrusia. Kiedy jednak odprowadziła gromadkę do

pagórka, z którego zbiegszy traciła z oczu obejście Wojciechów, nagle się zawracała i, podkuliwszy ogon, co sił zmiatała ku chałupie. Biedne jej serce było teraz w ustawicznym rozdwojeniu, między uczuciem dla szczeniąt i dzieci. Powróciwszy, spełniała codzienne swoje czynności: karmiła swoje małe, zaganiała kury i kaczki na podwórko, ujrawszy, że ktoś obcy przechodzi poza płotem, otaczającym obejście Wojciechów, szybko, sobie znaną tylko dziurą wypadała na drogę i, zjeżywszy skórę na karku, ujadła, aż jej ślina z mordy ciekła, a białe zęby błyskały ze złości... Wszystko to jednak nie zagłuszało w niej niepokoju o Jędrusia i Marysię, których het tam gospodynin na rozścielonej płachcie ułożyła.

Wybrała Jagna miejsce w chłódku, położyła obok Marysi flaszeczkę z mlekiem. Róg płachty naciągnęła na główkę, żeby jej słońko nie obudziło. Jędrusiowi poprawiła na główce kapelusik, podwinęła mu koszulinę i związała w duży węzeł na plecach. Potym posadziła go koło Marysi, mówiąc:

— Siedź se tu, Jendrus, i pilnuj Marysi, a nie odchodź nikaj, bo cię wowo zje. Naści chleb... sz se, jak ci się papać zechce, a jakby cię jaka... ujęść chciała, wołaj za mamą i krzycz, to cię mama usłyszcy.

Jędrus szeroko rozwiera oczki, stara się zrozumieć każde mamine słowo. Nie napiera się iść za mamą, będzie pilnował Marysi.

— Lisia mała — mówi.

— Tak, synusiu, mała, ale ty już duży jesteś, nie dasz Marysi zrobić krzywdy, co?

żyny i już niema... Chciałby Jędrus biec za mamą, ale przypomina sobie, że ma pilnować Marysi, która już zaczyna kwilić w poduszeczce.

Jędrus wie, że ma uważać, żeby Marysi jaka »ciucia nie ujadła«, ale ciuci żadnej niema, a Marysia płacze i płacze. Bierze Jędrus za sznurki, owijające poduszeczkę, i dalej-że kołysać Marysię, raz wtył, raz naprzód.

— A-a-a — mówi — a-á-a...

Oj nie podoba się to kołysanie Marysi — nie! Płacze coraz lepiej, a Jędrus aż się zasapał przy tej robocie.

Nagle spostrzega flaszeczkę, leżącą tuż obok na płachcie. Puszcza poduszkę, bierze flaszczynę i pcha ją do buzi małej.

Doskonała myśl! Marysia, mając buzię zatkaną, krzyczeć nie może i ssie tak, że aż oczki zamyka.

Rad z siebie Jędrus. Je Marysia, poje i on sobie. Wyciąga rączkę po chleb razowy, który mu zostawiła mama, gryzie raz i drugi, ale spostrzega prędko, że chlebuś mu jakoś nie smakuje. Właściwie to Jędrusiowi jeść się nie chce, ale bardzo chce mu się pić. Jeszczeby nie? Gorąco takie i namordował się tym kołysaniem...

Porzuca chleb na płachtę i biegnie do dzbanka, który stoi niedaleko w cieniu, gruby, brzuchaty, pełen wody, a taki wielki, że Jędrusiowi aż po bródkę sięga. Zajrzał Jędrus do środka, czy jest w »dźbantu odia«. Jest — więc przysuwa usta do brzegu dzbanka i próbuje pić. Ale! ani kropelka wody nie wpłynęła do buzi. Żle. Ciągnie Jędrus ku sobie szyję dzbanka

obydwoma rączkami, ale dzbanek ciężki, niełatwo go z miejsca ruszyć. Kiwnął się raz i drugi — wreszcie »chlup!« i nalał Jędrusiowi pełną buzię wody. Zmoczył mu i koszulinę i brzuszek, dość jednak, że się Jędrus napił, a dzbanek puszczoney zakołysał się i stanął w miejscu, jak przedtem. Jędrus otarł buzię i cieszy się, że mu się chłodniej zrobiło i że mu się już pić nie chce.

Teraz idzie Jędrus na spacer. Co zrobi parę kroków naprzód, to ogląda się i znowu na płachtę wraca; ale że żadne wowo nie wypada, żeby zjeść Jędrusia, więc stopniowo się ośmiela. Już wysunął się z miedzy i stanął na otwartej łące. Patrzy Jędrus i widzi daleką, zieloną przestrzeń i tyle kopiec siana, a takich »duzich«, że za każdą dziesięciu Jędrusiów schowałby się mogło. Próżno jednak wyteża oczęta, ani tatusia, ani spódnicy maminej... Markotno się robi Jędrusiowi; zasępił się, nawija na paluszek brzeg podwiniętej koszuliny... Rozpłakałby się może, ale wtym dolatuje go znajoma nuta śpiewanej gdzieś daleko piosenki:

Oj jedzie mój Jaś, jedzie,
ma siwego ko-ni-sia,
a przy lewym boku, a przy lewym boku
błyszczcy mu się sza-bli-sia —
błyszczcy mu się sza-bli-sia!

Zasłuchał się Jędrus: nie widzi mamy, ale wie, że to mama śpiewa i śpiewa dla Jędrusia, więc uspokaja się odrazu i nic już się nie boi, choć jest sam, zupełnie sam, na takiej dużej, dużej łące.

— Koi! koi — zajęczał kulik, szybujący nad łąką wysoko, wysoko. Jędrus zadziera główkę do góry,

ale nie może dojrzeć ptaka, bo nagle promienie słoneczne, dostawszy się pod jego kapelusik, zakręciły mu w nosku i »a pcich! a pcich!« — kichnął Jędrus raz i drugi. Bz! bz! — zabrzączała mucha, przelatując tuż, tuż koło uszka Jędrusia. Gzi-zi-zi-ż-ż-ż — grają w zbożu świerszcze, a jeden hyc! i skoczył Jędrusiowi na rączkę.

Podoba się Jędrusiowi ten mały gość, skoczył w górę i znowu siadł na nóżce Jędrusia, a co go Jędrus chce złapać, hyc i już jest z powrotem. Śmieje się Jędrus i stara się rączką nakryć owad drobny, wypatruje go w trawie i naraz chaps! i już go trzyma.

Aż przysiadł Jędrus z wielkiej uciechy. Mocno trzyma świerszcza w zamkniętej piąstce i duma, co z nim zrobić. Nareszcie zrywa się i biegnie do dzbanka.

— Maś, pij! — woła i rzuca świerszcza do wody.

Ale żal Jędrusiowi, że tylko jedna tiutka uraczy się wodą na taki upał. Rozpoczyna więc uciążliwe polowanie na świerszcze. Pot mu obficie zrosił czoło, przewraca się i podnosi... Buzię ma koloru piwonji, ale każdą schwyconą tiutkę wita wybuchem radosnego śmiechu, każdą odnosi i wrzuca do dzbanka. Niech się wszystkie napiją!

A słońko grzeje coraz mocniej, a przewlekła nuta śpiewanej przez mamę piosenki oddala się coraz bardziej.

Jędrus taki zajęty świerszczami, że dawno zapomniał o jedzeniu, mamie i Marysi. Ale Marysia, która zdążyła tymczasem wyssać z fłaszczyny mleko do ostatniej kropli, a nawet wyspać się porządnie — znowu płaczem przypomina mu o swojej obecności.



Usłyszał ją Jędrus i z końca ścieżki co tchu przybiegł do płachty. Wie już teraz, czym odrazu można uspokoić Marysię. Jak poprzednio, podnosi fiaszeczkę, którą Marysia zasnawszy wypuściła z bezwładnej rączyny, i jak poprzednio wtyka ją do otwartej buzi. Jędrus dobrze widzi, że mleka we fiaszeczce niema, to też ciekaw bardzo, jak to Marysia będzie piła. Przykucnął na płachcie i patrzy. Marysia, poczuwszy w buzi smoczek, odrazu przymknęła oczki i ssie, a ssie! Malutka jak pięść twarzączka kurczy się z wysiłku, drobne usteczka ciągną z całej siły — wszystko napróżno! ani jednej kropelki mleka. Marysia poznaje wkońcu, że wszelki trud jest nadaremny, bo w buzi równie sucho, jak było przedtem, zniecierpliwiona krzywi buzię w mnóstwo drobnych fałdeczek, fiaszeczka się zesuwa i Marysia uderza w płacz.

Zafrasował się Jędrus. Rozumie, że Marysia chce mleka, a mleka niema. Zabawia ją, jak umie, znowu chce huścić i w tym celu sam kładzie się na brzuszek i ciągnie powijak to na tę, to na tamtą stronę, nic nie pomaga. Naraz oczki jego padają na dzbanek gliniany, w którym przed chwilą taki bal sprawił świerszczom. Zapatrzył się Jędrus, a potem szybko oparł się na rączkach i pochylił się nad Marysią:

— Cieś odi? — woła i patrzy uważnie w skrzywioną buzię siostrzyczki.

Ale! dogada się to człowiek z takim dzieckiem, co ino krzyczeć a krzyczeć potrafi.

— Cieś odi? — pyta Jędrus po raz drugi, a nie otrzymawszy i teraz odpowiedzi, podnosi się i drep-

cze do dzbanka. Złapał obiema rączkami ucho i ciągnie, co ma sił. Zadygotał dzbanek, kiwnął się, chlupnął wodą na bosc nóżki Jędrusia, ale — ruszył się!

Jędrus z wysiłku wysunął różowy języczek, nie puszcza dzbanka, tylko ciągnie a ciągnie. Zawadza mu trawa, zawadza płachta, która kurczy się i zwija między nóżkami jego i dzbankiem, ale i tak nie dadzą Jędrusiowi rady. Dzbanek jest już o krok, już o pół kroku od Marysi. Jędrusiowi tchu zabrakło ze zmęczenia. Dzbanek stoi już tak blisko, że wystarczy go tylko popchnąć troszeczkę, żeby Marysia mogła się napić, ile tylko zechce.

— Maś odi! — woła z tryumfem Jędrus i obiema rączkami popycha dzbanek tak mocno, że dzbanek się wywraca pierwszy, a Jędrus za nim drugi.

Szczęściem brzeg padającego dzbanka trafia w poduszczkę, a nie w główkę Marysi. Krzyk Marysi urywa się nagle, bo woda zalewa ją całą z noskiem, oczkami i poduszczką. Jędrus dźwiga się i rad, że nareszcie postawił na swoim, przysuwa się do Marysi:

— Dobła? — pyta, cały rozpromieniony.

Ale Marysia, jak przedtym, nic mu nie odpowiada, krtusi się tylko strasznie, aż jej twarzyczka zesiniała, oczki na wierzch wyszły, a malutkie paluszki u obu rączek rozpaczliwie otwierają się i zamykają.

Nigdy jeszcze Jędrus takiej Marysi nie widział. Przypatruje jej się ciekawie, ale nagle twarzyczka jego przybiera wyraz przestachu. Na widok strumienia wody, płynącego z dzbanka i przelewającego się po Marysinej buzi, błysnęło mu jakieś niejasne

przypomnienie — może własnego topienia się w gnojówce, może klapsów maminych — dość, że Jędrus instynktownie łapie dzbanek oburącz i pociąga ku sobie tak gwałtownie, że sam traci równowagę, pada nawznak, dzbanek uderza go w czoło i, wypuszczony z rąk Jędrusia, kładzie się obok niego na trawie.

Dopieroż to się zaczął lament w miedzy. Ledwie Marysia zaczerpnęła troszkę powietrza w płucka, jak nie zacznie krzyczeć! — mało jej gardziołko nie pęknie. Krzyczy, że ją zalała woda, krzyczy, że świerszcze wyswobodzone z kąpieli skaczą po jej buzi, krzyczy, że ją słońce pali swemi promieniami, i krzyczy, że komar gryzie ją w lewą piąstkę, a nikt mu tego nie broni.

Na drugim końcu płachty zanosi się od płaczu Jędrus. — Mama! mama! — woła, łkając, i rączką trzyma się za czoło, na którym od uderzenia dzbanka wyskoczył guz potężny. — Mama! mama! — powtarza, ale nikt na ratunek dziecka nie przychodzi. Jędrus przytula główkę do zielonej trawy i płacze, płacze... Taki się czuje maleńki, taki biedny i słabutki... Chciał Marysi dać »odi«, a Marysia krzyczy mu teraz, a »dźbanet« skoczył na Jędrusia i zrobił mu »bubę« na główce. Oj, niechże mama nadejdzie i pożałuje synusia...

Raptem z żalonym płaczem dzieci zmieszał się głos trzeci, ale inny jakiś, radosny. Nim Jędrus zdołał rozewrzeć zapłakane oczęta, kudłate ciało przypadło do niego, wilgotna, dobrze mu znana morda sapnęła

nad nim z uciechą i mokry jęzor raz i drugi przejechał mu po buzi.

— Bulta! oj Bulta! — zaszlochał Jędrus i, pochwyciwszy sukę za szyję, zaczął ją całować i tulić się do niej i przerywanym przez łzy głosikiem zaczął się skarżyć na »Lisię, odię i dźbanet«.

A Burka aż poszczekuje z wielkiej żałości nad niedolą gospodarskich dzieci i liże naprzemian to Jędrusia, to Marysię, która, poczuwszy przy sobie żywą i życzliwą istotę, powoli się uspokoiła i zamknęła oczki.

Jędrus przyczołgał się do Burki. Rączkami objął ją za szyję i, całując z całej siły w zakurzone kudły na karku, szepnął serdecznie:

— Dobla Bulta! ciacia Bulta! moja ciucia!

Burka dyszy ze zmęczenia, z wywieszzonego jęzora skapuje jej ślina, ale myrda ogonem z uciechy i, nastawiwszy uszy, pilnuje gospodarskich dzieci.

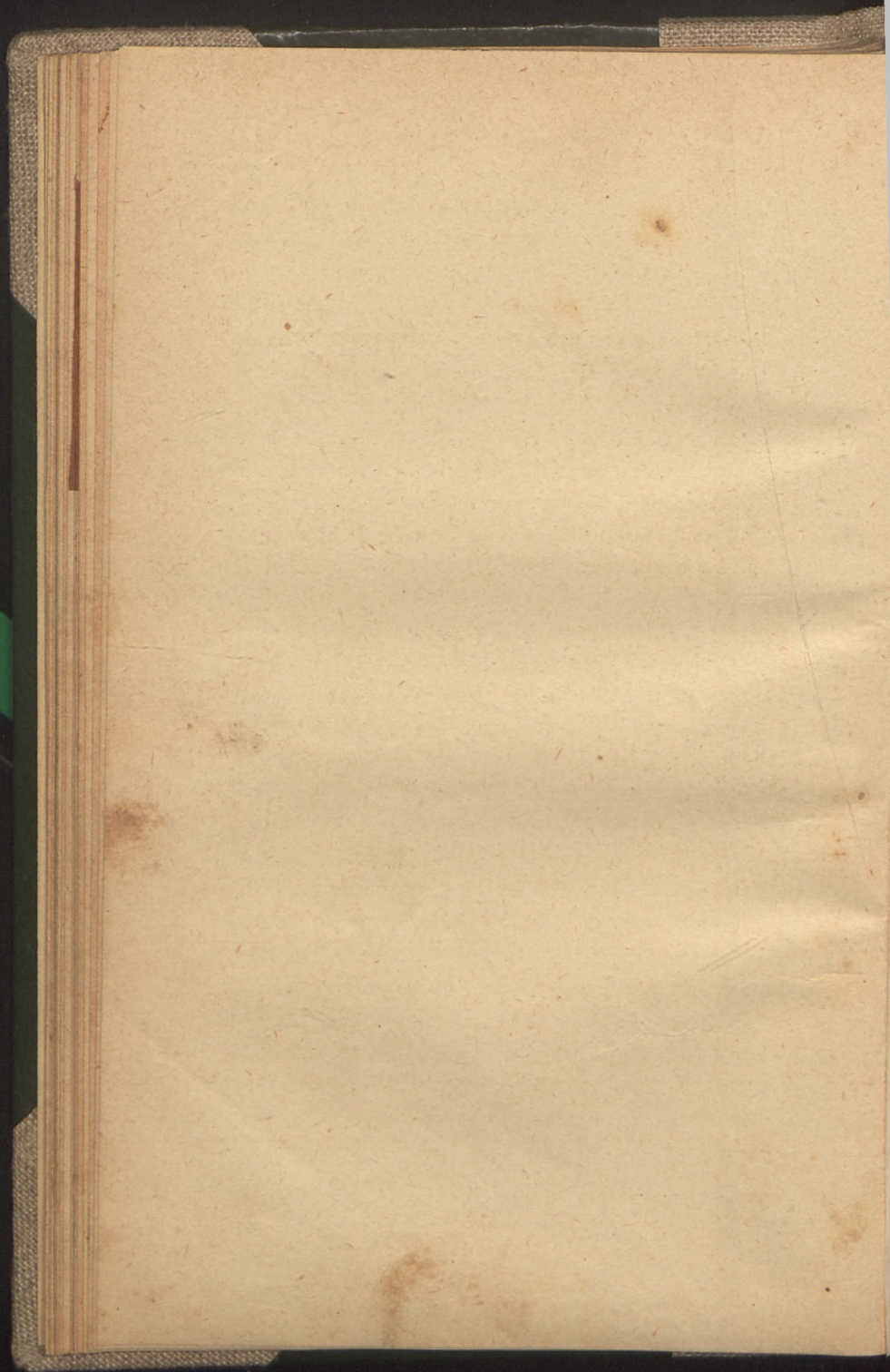
Jędrus oparł głowinę na jej grzbiecie. Najpierw odetchnął z ulgą, potem raz i drugi grzebnął tłustą nóżką, do której się dobrać chciała jakaś natrętna mucha i nareszcie — zasnął.

A słońeczko sunie i sunie po niebie i het praży golutkie nóżki Jędrusia, suszy mokrą płachtę i poduszeczkę Marysi i wciska się między szare kudły Burki.

Burce zwolna zaciężyły powieki, pysk się zawarł, myrdanie ogonem ustało...

I tak spali sobie wszystko troje, aż dzwon kościelny wydzwonił godzinę południa i Wojciech z Jagną, ukończywszy grabienie siana, przyszli zabrać dzieci na obiad.

JAKĄ NAUKĘ DAŁ TIUTCE
JĘDRUŚ.





ama, papu!

To były pierwsze słowa, które wypowiedział Jędrus, przebudziwszy się na ramieniu tatusia. »Papu!« przypominał przez całą drogę, »papu!« wołał, drepcąc za Jagną po podwórku i izbie, i nie mógł pojąć, że wobec tak ważnego faktu, jak ten, że Jędrus jest głodny, wszyscy się tak obojętnie zachowują. Mama daje trawę Łysuli, Burka włożyła pod łóżko do »ciuciek«, a tato wcale nawet do izby nie wszedł, tylko najpierw siwki napoił przy studni, a teraz wyciąga wóz ze stodoły. Kiedyindziej ucieszyłyby się Jędrus, widząc wóz na podwórku, bo domyśliłyby się, że pojedzie z tatusiem »hetta« w pole i machać będzie długim biczyskiem; ale teraz pamięta tylko o tym, że »papu« jeszcze niema, a obiad dawno mu się już należy. Wsunął się za mamą do obórki — ale nie po to, żeby jak codziennie przyglądać się z zajęciem, jak to mleko z dójek Łysuli tryska do skopka, trzymanego przez mamę — nie! Jędrus chce dziś tylko, żeby mama jak najprędzej skończyła robotę i nareszcie dała »papu« Jędrusiowi. Buzia jego rozjaśniła się dopiero, kiedy mama, wszedszy do izby, zdjęła miskę z półki.

Jędrus czuje już słodki smak mleka w buzi i tak mu się dziwnie robi jasno i radośnie, że, uzbrojony

w łyżkę drewnianą, przypada do mamy, obejmuje ją rączkami za nogę poniżej kolana i, całując ją tkliwie w spódnice, powtarza:

— Moja mama! — Moja mama!

A na to mama:

— Twoja, Jędrus, twoja, ale widzi mi się, że dzisiaj Jędrusiowi nie da obiadu.

Jędrus puszcza maminią nogę, radosne jego uniesienie pierzcha... Nie dowierzając własnym uszom, zadziera w górę głowinę i wlepia w mamę zaniepokojone oczy:

— Dia, dia — mówi, kiwając główką.

— A nie da, Jędrus! Nie da! — śmieje się mama, wysypując krupy z garnka na miskę.

Tego już za wiele. Jędrus głodny, czeka od rana na »papu«, a teraz mu nie dają! Jędrus odwraca się od mamy, kąciki ustek jego opadają na dół i choć mama woła za nim, Jędrus chwytając się rączkami ścian i, rzewnie płacząc, wybiega na dwór.

— Wróć się, Jędrus! Już ci mama dają — woła Jagna, której teraz zrobiło się przykro, że żart jej Jędrus wziął tak bardzo do serca.

Ale że Jędrus nie wraca, Jagna rada nie rada bierze miskę ze stołu i idzie go szukać. Znajduje go aż pod gruszą w sadzie, zanoszącego się od płaczu. Jakże? Obiecywali mu, obiecywali, a kiedy miska była już na stole i Jędrus nawet łyżkę trzymał w garści, powiedzieli, że nie dadzą... Jędrus tak się na mamę obraził, że nie dał sobie obetrzeć noska i wrywał się, kiedy go mama całowała. Z trudem posadziła go Jagna na trawie, między rozstawione sze-

roko nóżki wsunęła mu miskę i, wetknąwszy w rączkę łyżkę, rzekła:

— Nie becz, Jendruś, ino papaj, a nie samo mliko, ale i krupy.

Dąsał się jeszcze Jędrus i, choć na widok miski odrazu mu się odechciało płakać, buczał jeszcze i buczał, dopóki mama nie znikła w drzwiach chałupy. Ale jak tylko stracił mamę z oczu, jak się nie weźmie do jadła! Mleko nie mleko, krupy nie krupy, nikły w buzi Jędrusia. Jadł Jędrus nie gorzej od niejednego parobczaka, ale bo i niejeden parobczak nie napracował się tyle, co Jędrus dzisiaj. Nie kołysał to Marysi, nie napoił to tiutiek? Będzie jadł, bo mu się jeść chce, będzie jadł, bo mu się obiad należy, będzie jadł, póki nie zje wszystkiego. Dzwoni Jędrus łyżką drewnianą o brzeg miski, sapie i je, aż mu rzęsisty pot wystąpił na czoło.

— Doble! Doble! — powtarza, ale nie zjadł jeszcze i trzeciej części, a już mu i mleko i krupy mniej smakować zaczęły. Już nie broni muchom siodać na misce, a nawet, ujrzawszy ptaszka, który z gałązki trzepnął ogonkiem w stronę Jędrusia, nabrał pełną łyżkę mleka i chlusnął na trawę. »Maś, papaj!« — zawołał głośno, ale głupi ptaszek przestraszył się i, zamiast jeść, co mu Jędrus dał, frunął na drugie drzewo. Znowu sięgnął Jędrus do miski, gdy wtym o jego nóżkę otarło się coś chłodnego.

— A! A! — wykrzyknął Jędrus i z wielkiego podziwu zamiast łyżkę włożyć do ust, machnął nią i mleko wylał sobie na brzuszek.

Tuż koło Jędrusia przesunęło się coś długiego,

zwinnego i świecącego w promieniach słonecznych, jak paciorki na maminej szyi.

— A! — powtórzył Jędrus w zachwycie i z oczu nie spuszcza dziwnego stworzenia, które, zwabione zapachem mleka, podpełzło tuż, tuż, prawie do samej miski.

— Tiutka — nie tiutka — kręci główką Jędrus. — Oci ma, lucha się — tiutka — zawyrokował wreszcie, tylko jakaś taka inna od wszystkich tiutek, które widział dotychczas. Taka długa i cienka, jak bat tatusia.

Uniósł się Jędrus troszkę, ażeby lepiej zobaczyć tiutkę, a przy tym poruszeniu miska pochyliła się na stronę tiutki. Trawa zaszeleściła i tiutka znikła z oczu Jędrusia.

— Chodź, chodź — zaprasza ją Jędrus i czeka chwilkę, ale że tiutka nie wraca, zaczyna na nowo jeść kaszę z mlekiem.

Ledwie jednak przełknął dwie czy trzy łyżki, tiutka ukazuje się po przeciwnej stronie miski.

— Cień papać? Papaj! — mówi Jędrus i widzi z radością, że tiutka podnosi płaski świecący łebek, wyciąga się do góry, wygina się i nareszcie spuszcza pyszczek do miski.

Jędrusiowi dech zapało z radości, buzię otworzył i patrzy. Tiutka z początku ślizga pyszczek po brzegu miski, aż natrafia na mleko! Zaczyna pić!

Ach, jak się Jędrus ucieszył. »Papaj, papaj« — powtarza z czułością i wyciąga rączkę ponad miskę, chcąc pogłaskać świecąca łuskę tiutki. Nie zdążył jednak spełnić swego zamiaru, bo tiutka, poczuwszy

zakołysanie się miski, wyciągnęła szyję, podniosła łebek i, patrząc na Jędrusia czarnemi, przenikliwemi oczkami, syknęła złowrogo, wysuwając z pyszczka rozdwójony języczek.

Przestraszył się Jędrus, cofnął rączkę, a tiutka spokojnie dalej pić zaczyna.

Nachmurzył się Jędrus — i spojrzął na tiutkę nieufnie. Dał tiutce swego »mlika«, dał swoich »klup«, a tiutka chciała go »ujеść«. Na złość tiutce sięga łyżką do miski i zaczyna jeść prędko, prędko, żeby dla tiutki nic się nie zostało.

Ale tiutka nic sobie z tego nie robi; wpuściła pyszczek do miski i ciągnie, a ciągnie mleko.

Przypomniał sobie Jędrus mamine słowa:

— Nie papaj siamo mliko! Papaj klupy — krzyknął i patrzy, czy go też tiutka usłucha.

Gdzie tam! Tiutka nie boi się go wcale, mleko pije, a krupy het zostawia.

Tego Jędrusiowi za dużo! Jak nie odwinie piąstkę z łyżką:

— Nie papaj siamo mliko! Papaj klupy! Klupy! — wrzasnął czerwony z gniewu i bęc! bęc! bęc! tiutkę po łbie i grzbiecie.

— Jezusie! — rozległ się nad główką Jędrusia okrzyk przerażenia Jagny, która nadeszła zobaczyć, czy Jędrus skończył jeść obiad, i zanim Jędrus zrozumiał, co się dzieje, mama go porwała pod paszki, uniosła z ziemi i jak piorun wpadła do izby.

— Wojtek! Leć ino pod gruszę, wąż się zakradł do Jędrusiowego mlika, ubij go, bo nam dzieci urzek-

nie — krzyknęła tak gwałtownie, że Wojciech, jak siedział, porwał się i wybiegł na dwór.

Próżno jednak przetrząsnął trawę i krzaki; wąż, skarcony dłońią Jędrusia, dał takiego nura, że ani śladu po nim nie zostało.

Wrócił Wojciech do izby, gdzie Jagna jeszcze nie ochłonęła z przerażenia.

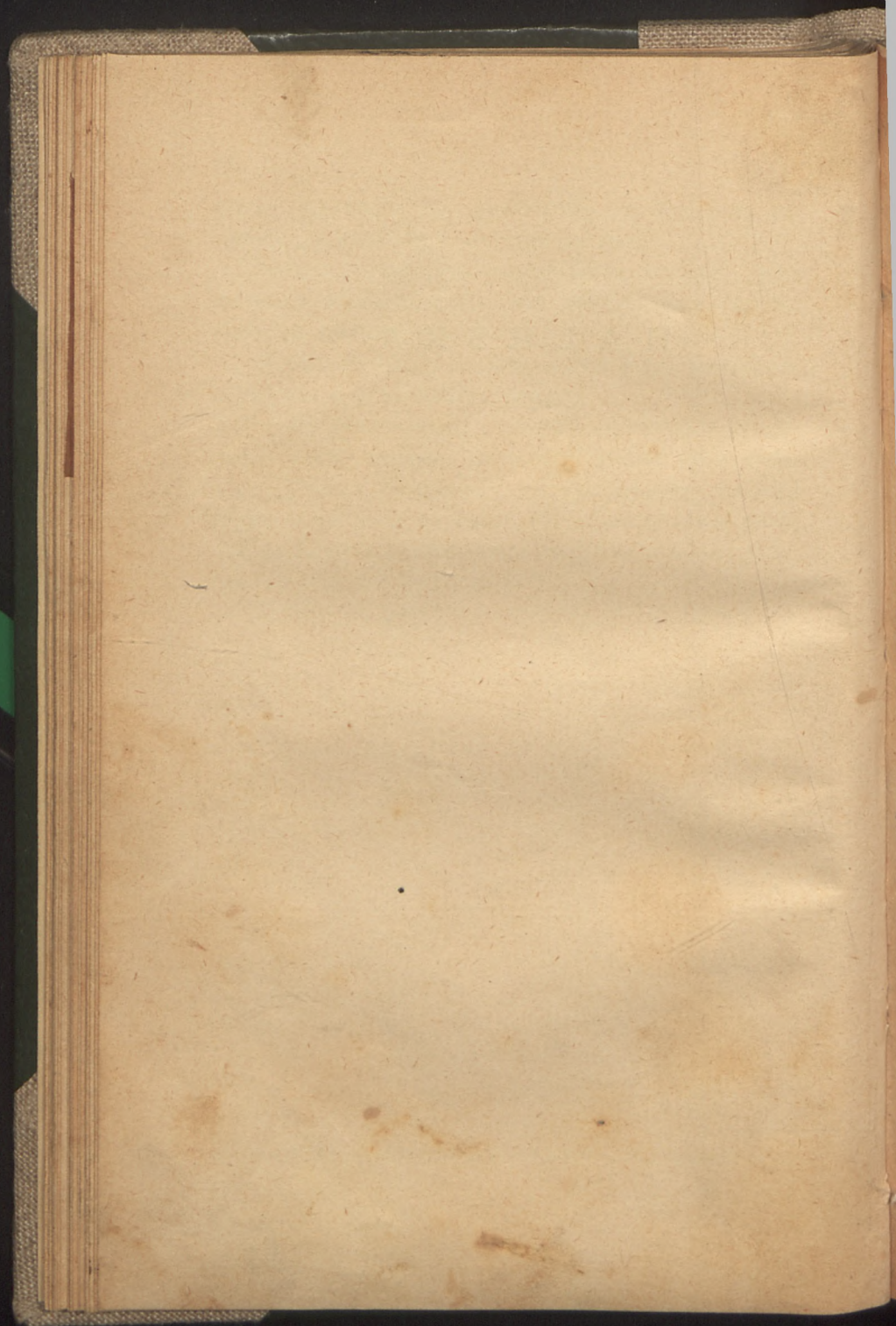
— Zwidziało ci się — rzekł, stawiając z powrotem w kącie siekierę, którą miał zamiar zabić węża.

— Jakże? Zwidziało! — wykrzyknęła oburzona Jagna — nie mam to oczu? Pił z Jendrusiowej miski, a że go Jendrusz po łbie wymłócił łyżką. Prawda, Jendrusz, że wąż pił twoje mliko?

— Nie aś, tiutka — poprawił mamę Jędrusz.

H A L U Ś K A.

CZĘŚĆ 1.



1.

LUDZIKI.



winna, jak żywe srebro, a kolorowa, jak bańka mydlana, w chłopskiej czerwonej sukience, malowanej w złote kłosa, biegnie na ratunek osie, ściganej morderczymi uderzeniami ścierki.

— Nianiusiu, osi nie tseba żabijać, ośa dobla! — woła, chwytając grubą Barannę za fartuch.

A widząc, że niańka niedowierzająco jakoś patrzy —

— Nianiusiu, ośa naplawdę dobla, ośa psecie mlećko daje — poucza przekonywującym, pewnym siebie głosikiem.

Otulona w puszyste futerko i kapturek toczy się, jak kłębuszek białej bawełny, przez nasiąkłe wilgocią trawniki, poprzedzana wesołym ujadaniem wielkiej kudłatej Wisły.

Przypada do nikłej zielonej trawki, wyskubując białe kwiatki o złotych serduszkach, i z trudem ścis-ka w piąstce »stoklotkowy bukiet dla mamuńki«.

To znowu ciągnie Barannę ku ogrodowej sadzawce, nad którą rosochate topole nadwiślańskie szeleszczą resztą zeschniętych od jesieni liści.

Śledzi z napięciem kamień, kiedy rzucony dłoń niańki przedziera senną powierzchnię wody i za-

pada z pluskiem w jej głąb, i patrzy na fale, które w słońcu zataczają kręgi i uciekają dalej, coraz dalej, rozpryskując się na mniejsze, coraz mniejsze, wygięte w łuk, z gwiazdką płonąca w miejsce strzały. Słucha, gdy dobijają do brzegu, z cichym, tajemniczym, wesołym pluskiem:

— Nianiusiu, woda się śmieje! — woła, klaszcząc w rączki z radości.

I już biegnie dalej, dojrzawszy motylka-cytrynkę, który, niepewnie poruszając skrzydełkami, usiłuje stawić opór wiosennemu podmuchowi wiatru:

— Balanusi! pomalańka żywa lata — dziwi się, zatulając rączkami buzię.

A gdy zmęczony motylek niespodziewanie przylnął do białego jej futerka, Haluśka przystaje cała zaróżowiona ze wzruszenia i jak rybka porusza usteczkami, bojąc się głębszym westchnieniem spłoszyć maleńkiego gościa.

— Nianiusiu! ja się jemu spodobałam — szepcze, podnosząc ku niańce szafirowe oczy, które w tej chwili zdają się prawie czarne, tak ich źrenice rozszerzają się, ilekroć Haluśka jest czymś przejęta.

Motylek siedział skulony, nabierając sił do dalszego lotu, ale kiedy od sadu wionął subtelny zapach kwiatów jabłoni, zaściełających białym kobiercem stopy drzew owocowych, rozłożył raz i drugi skrzydełka i frunął dalej.

Haluśka się zdziwiła. Była pewna, że motylek zostanie z nią nazawsze. Chwilkę stała bez ruchu, nadstawiając motylkowi futrzane swe ramionko, aż nareszcie zrezygnowana machnęła rączką:

— Pomalańcka poleciała do swoich dzieci, cio?

Z pewnością do swoich dzieci. Bo dla czegożby inaczej nie została z Halunią? Wie przecież, że Halunia nie zrobiłaby jej nic złego. Pokazałaby tylko mamie i puściła. Ale motylek się boi, że jego »male motylątka plakają w gniaźdecku«, i dla tego tak prędko macha skrzydełkami. Każda mama boi się o swoje dzieci. Mama boi się o Halunię, a Halunia boi się o lalusie.

I zanim Baranna ma czas się obejrzyć, Haluśka się zawraca i pędzi ku domowi:

— Ja się tu żalaż włożyć! — krzyczy, jak może najgłośniej, ale że wiatr tłumi jej wołanie, zaniepokojona Baranna podkasuje spódnicę i biegnie za nią, gubiąc w rozmiękłym błocie ścieżki rozklapane kalosze.

— Ja się tylko popatse, cy lalusie nie placom — krzyczy Halunia, odwracając różową, jak jabłuszko, buzię, i goni co sił ku Zielonemu Dworkowi, gdzie w drzwiach, wiodących do ogrodu, leży na otomanie mamuńka.

W nogach pani, z podkulonemi wdzięcznie łapkami, wglębiła się w dołek ciemnego pledu duża, bura Kita. Niekiedy odmyka szparki stulonych niby dobrodusznie powiek i przelotnym spojrzeniem obrzuca parę jaskótek, trzepiącą się w zgiełkowej radości nad gniazdkiem, ulepionym pod okapem dachu, to znowu mruży je rozkosznie pod delikatną pieśczołą długich, wysmukłych palców, przesuwających się zwolna po jej miękkim, przegowatym, przepojonym słońcem futerku.

— Przyjemnie trzeszczy? co? — pomrukuje zcicha, podnosząc ku leżącej pani tępy, nabrzmiały sytością i dobrobytem pyszczek. Raptem uszka Kity się nastawiają, czarnym koniuszkiem ogona zaczyna machać wprawo i lewo z niezadowoleniem, pazurki w wyciągniętych łapkach wsuwają się i wysuwają niespokojnie.

Od strony sadu dolatuje odgłos szczekania psa i radosnego dziecięcego śmiechu.

Kita wstaje zwolna na cztery łapki, wygina grzbiet i ogon w kabłak i, zjeżywszy futerko, patrzy wystraszonemi, zielonemi oczami w biały punkcik, toczący się z głębi ogrodu, potym gwałtownym ruchem otrząsa z siebie resztę ociężałości sennej, i rozwarszy pyszczek w szerokim ziewnięciu protestu, jednym susem kryje się pod fotel, zanim Halunia wygramoli się na schodki ganku z głośnym wołaniem:

— Plakali? plakali, mamuńko?

Zgrzana, spocona, przypada do otomany i, rzucawszy na kolana matki zmięty i gorący od długiego trzymania w piąstce „bukiet stoklotkowy“, wyciąga szybko, jedną po drugiej, wszystkie lalki, które, odchodząc, powtykała w boki otomany, mamuńce na pociechę. Upewniwszy się, że lalusie są grzeczne i zdrowe, ściska naprzemian to dzieci, to mamę i opowiada jednym tchem o ślicznych kuleczkach, takich, jak chlebki dla laluś, »cio Balanna nie dała żbielać, bo mówiła, że to się po żająkach zostało, mamuńka wie?«, o Wiśle, co do wody »skocyla«, a potym »tsęsla się, jak fontanna« i o sroczce, co jeszcze »na

wlonkę nie wylosła«, a już kiwała ogonkiem do Krakowa, żeby tatuśko prędeż przyjechał.

Kita, ukryta pod fotelem, spogląda niechętnie na żywą giestykulację małych rączek, zrzucających z pośpiechem białe futerko i kapturek, to znowu pocierających karczek z desperacji, że »mamuńka musi tak ciągle lezeć, lezeć i lezeć!« Kita zna dobrze te krótkie różowe paluszki, które nieraz, przychwyciwszy ją znienacka, niemiłosiernie duszą do piersi, poczym następuje niezliczona ilość pocałunków, składanych w bure futerko i przeplatanych okrzykami:

— Moja! moja! moja! Kita! Kita! Kita!

Kita mruży oczy, wsuwa łebek w piękną kokardę z czerwonej wstążki i duma nad szczególniejszym upodobaniem swojej pani do tego hałaśliwego i krzykliwego stworzenia. Kitę dziwi to niezmiernie, jak przy takim ściskaniu i tarmoszeniu pani jej może mieć tak rozjaśnioną minę, jakby ją wielka przyjemność spotkała.

— Musi mieć skórę dużo twardszą od mojej — pomrukuje zcicha, gładząc bury nosek to jedną, to drugą łapką, i czeka niecierpliwie, żeby tupot nówek oddalił się jak najbardziej od jej kryjówki.

Kita nadewszystko lubi spokój.

Na szczęście Kity, ledwie Halunia wyzwoliła się z krępującego ją okrycia, porwała lalki pod pachę i już biegnie w podskokach do sypialnego pokoju, gdzie w kącie, między oknem a łóżkiem mamy, jest »lalusin domek«.

Ale po drodze potyka się o małego pajacyka z blachy, leżącego na dywanie.

Masz tobie! niema czasu myśleć o lalusiach, trzeba je jakbądź złożyć na łożku największej z lalusi, ogromnej »Blonki-Beatlicy« i zająć się »ludzikami«, które, choć są mniejsze od najmniejszej z lalusi Halusi, nie są jednak jej dziećmi, »bo som juz duże«.

Każdy przyzna, że trudno uznać za dziecko murzynka z wielką rozczochną czupryną i fartuszczykiem zamiast »majtadalków«, który ma swoją własną żonę murzynkę i swoje dziecko-murzyniątko, w worku na plecach matki. Albo »wąsatego ułana« i żonę jego »panienkę«, zamieszkałych w pudełku od zapalek, albo Piękną Tup-Tup wciętą w pasie »jak dama jaka« i dzielnego rycerza Patataja, na białym koniku na biegunach. O nie! to nie są dzieci, to są ludziki — ludziki, posiadające swój własny kraj na niskim stoliku pod oknem, i żyjące własnym, odrębnym życiem. Z lalusiami schodzą się ludziki tylko na balach i chrzcinach, do których stolik ludzikowy jest koniecznie potrzebny.

Haluśka, pochłonięta najzupełniej obowiązkami macierzyńskimi, rzadko poświęca im chwilę czasu, ale zdarza się, że tak błahy napozór przypadek, jak potknięcie się Haluni na Patataju, leżącym na dywanie, zmienia nagle ludziki w hohaterów, przeżywających różne straszne koleje, a Haluskę w Opatrzność, dbającą, żeby wszystko skończyło się jak najlepiej. Wtedy pod jednym spojrzeniem Halusi pokój, stół, krzesła zamieniają się w bardzo wielki las, dywan w »duzią wodę«, a otwarty piec, znudzony bezczynnością, sam się prosi, żeby go użyto jako ciemnej trochy, ale suchej i bezpiecznej jaskini.

Wszystko zawsze zaczyna się od Pięknej Tup-Tup. Tup-tup jest wprawdzie dwa razy większa od swego narzeczonego Patataja, ale oboje są zrobieni z blachy i dla tego zapewne kochają się tak serdecznie. Piękna Tup-Tup mieszka wpośrodku ludzikowego kraju, w domku, uszitym z trzech kart przez mamuńkę. Domek jest otoczony wielkim »błądzącym lasem«. Wyobrażeniem tego lasu są dwa drzewka, wyjęte z Arki Noego, przypominające zielony naparstek, nadziany na patyczek, przyklejony do żółtego krążka. Za tym lasem daleko, daleko, czasem w fałdach portjery, a czasem aż na drugim oknie, mieszka rycerz Patataj, który przyjeżdża do Pięknej Tup-Tup na białym koniku na biegunach. (Co niedziela, jak tatuś!) Ale zdarza się, że »dzielny lycecz Patataj jedzie sobie w inny klaj« het, daleko, aż do stołowego pokoju. Wtedy Piękna Tup-Tup chodzi i chodzi naokoło domku z kart:

i maltwi się i śmuci,
ze już lycecz nie włóci
i baldzo maltwi i ślocha,
ze już lycecz Patataj nić biednej Tup-Tup
nie kocha!

Zupełnie tak, jak Baranna, kiedy jej mąż pojechał do innych krajów. Tup-Tup się boi, że rycerz Patataj nie wróci tak samo, jak mąż Baranny, bo nie wie, że rycerz już jedzie do niej, tylko jest jeszcze daleko — daleko... I Tup-Tup płacze, i tak jej smutno, że aż idzie naprzeciw. Tup, tup, tup, tup, tuptają jej nóżki. Jedna stoi na ziemi, druga w powietrzu, trzecia i czwarta już się ukazują z pod bla-

szonej sukienki. (Wszystkich nówek jest sześć, i jak Tup-Tup zacznie się bać jeszcze więcej, to będą biegły tak prędko, jak radełko od maszyny mamy). Idzie, idzie, idzie, aż doszła do dywanu i pyta bardzo grzecznie:

Powiedz, plosę, pani zeko,
cy Patataj jest daleko?

A dywan odpowiada grubym głosem, jakim zwykle przemawiają czarownice w bajkach, układanych przez Baranusię

A cego ty mnie zbudziłaś,
kiedy ja się jeśce nie wyśpalam,
i choćby wiedziałam, toby tobie
nić nie powiedziałam!

Wtedy piękna Tup-Tup zaczyna płakać, ale to tak płakać, że wodzie robi się przykro i mówi, że ona tylko żartowała, a naprawdę to rycerz Patataj jest niedaleko,

za siódmą gółą
za siódmą żeką...

Tup-Tup ślicznie dziękuje i idzie dalej »i się zia-bląkuje«, bo wielki las jest naokoło. Tup-Tup boi się bardzo, bo »puhacze puhają i kluki klukają« i dzikie zwierzęta ryczą. Tup-Tup nie wie, że zwierzęta są zamknięte w Arce Noego i nic nikomu złego nie robią, bo są »swojskie«, tak, jak Wisła i Kita, i tylko się tak śmieją do murzyniątka, które się z nimi bawi. Tup-Tup myśli, że zwierzęta są ciągle jeszcze dzikie i że najpierw ją zjedzą, a potem zjedzą Patataja — rycerza i konika białego. Uhu! ryczą zwierzęta,

a Tup-Tup biegnie naprzód z wyciągniętymi do góry rękami (dawniej miała w nich parasol, ale się urwał) i woła:

Gwaltu! lety! aj! aj! aj!
gdzie mój lycecz Patataj?!

Tu następuje króciutka przerwa, bo Haluśka musi wyprowadzić z pieca »wąsatego ulana« i »panienkę«. Czasem są to krasnoludki, czasem »takie źli źbójce, coś się poplawili i już potym byli dobre«. Zbójcy uspokajają Piękną Tup-Tup, że jak się tylko skończy noc, to rycerz się znajdzie. Ale Piękna Tup-Tup nie chce im wierzyć, bo nie wie, że oni są już »dobre« i o mało, mało, a jużby się utopiła, bo tak jest ciemno, »że aż śtlach«. Ale wtedy Halunia czymprędzej zamienia się w słoneczko, które wybiega z nieba, przeciąga się rozkosznie, mruga oczkami, a potym raz po raz przysiada nad podłogą, ogrzewając las, wodę i ludziki brzegiem czerwonej sukienki, malowanej w złote kłosa. I tak, jak mówili zbójcy, zaraz z drugiego pokoju:

Tlu-tu! tu! tu! tlu! tu! tu! tu!
tłabi lycecz Patataj:
Tup-Tup moja, buzi daj!

Ach, co za radość! Piękna Tup-Tup i Patataj padają sobie w objęcia i tak się mocno całują, że aż zaniepokojona Kita zaczyna gonić po pokoju z zadartym w górę ogonem.

Ale niezawsze losy Pięknej Tup-Tup układają się tak pomyślnie. Czasem zabawa się urywa. Halusia coś mówi do siebie półgłosem, wzdycha, splata i rozplata rączki. Może zapomniała, co ma być dalej,

a może chciałyby wymyśleć coś nowego. Biegnie wtedy po radę do mamuńki.

Tak się jakoś składa, że ile razy Halunia bawi się »ż ludzikami«, w saloniku jest za zimno i mama się musi położyć na swoim łóżku w sypialni. Haluni nie przeszkadza to najzupełniej, owszem, woli nawet, żeby ktoś był w pokoju, byleby tylko wcale nie uważał na to, co mówią i robią ludziki. Bo ludziki bardzo nie lubią, żeby się kto do nich wtrącał. Zaraz im się wszystko myli, i już potem nie wiedzą, jak się bawić dalej. Ale mamuńka może zostać, bo tak jest zawsze zajęta robotą albo czytaniem, że nigdy nie wie, co się dokoła niej dzieje. A potem znowu Halunia jest tak zajęta, że także nie wie, co się z mamą dzieje. Nie widzi też, że mamuńka lekko pochyliła się naprzód, śledząc każdy gość, każde drgnienie głosu i wyobraźni ruchliwej maleńkiej postaci. Usta mamy to zginają się w przelotnym uśmiechu, to poruszają się, jakby mama chciała coś powiedzieć. Ale nie mówi nic, patrzy tylko i słucha, ale tak jakoś, jakby miała przed sobą nie swoją, lecz inną jakąś Haluškę.

A kiedy Halunia pada przed Piękną Tup-Tup na kolana i błaga przejmującym, przerywanym łzami głósikiem:

Kłólewno!
nie top się tak gwałtownie,
bo ciebie škoda
żoštawić
umal — nię — tą —
nażawše!...

Mamuńka wlepia oczy w zmienioną twarzyczkę Haluśki i patrzy na nią z takim załękaniem, jakby dopiero teraz spostrzegła, jak wielkie Pięknej Tup-Tup grozi niebezpieczeństwo.

A potem oddycha głęboko i, oparszy głowę o poduszki, wolno, mechanicznie, nawija nitkę jedwabiu na szydełko.

Ale niech Halunia tak, jak w tej chwili, przybiegnie do łóżka mamy z zapytaniem:

— Powiedz, a cóby było, żeby Patataja wilki żjadły?

Mamuńka milczy przez chwilę, a potem odpowiada z tym słodkim uśmiechem, po którym Halunia odrazu poznaje, że mama nawet nie słyszała jej zapytania.

— O co ci chodzi, Haluśko?

Trudno, starsi niezawsze mogą się zajmować zabawami dzieci.

TATUŚKO.



tarsi wogóle bywają czasem dziwni. Na przykład — tatuśko.

Tatuśko mieszka na codzień w tamtym domu w Krakowie, w którym przedtym, kiedy mamuńka była zdrowa, mieszkała i Halunia także. Tatuś ma tam swoją »placiownię« i lepi w niej takie duże, duże lalusie z gliny. Lalusie te są brudne i nie można się niemi wcale bawić, Haluni nawet nie bardzo się podobają, tylko nikomu o tym nie mówi, bo... bo Halunia nie wszystko starszym mówi.

Do Zielonego Dworku przyjeżdża tatuś raz tylko w niedzielę. Ogromnie miło jest czekać na tatusia. Już od soboty po całym domu rozchodzi się zapach pieczonej baby z rodzenkami, w kuchni prasuje Barranna Halusine sukienki, a także swoją czerwoną spodnicę i fartuch w niebieskie kwiaty. Halusia myje lalki i wyciera naczynie drewniane. Wszystko na tatusia przyjęcie.

W niedzielę rano jest jeszcze przyjemniej. Halunia raz po raz biegnie do dużej szafy z lustrem i przygląda się z zajęciem tej drugiej Haluni, którą

tu może obejrzyć od trzewiczków i pończoszek aż po włoski rozplecione na »lwią gzywę«, unoszące się dokoła głowy, jak lekki puchowy obłok. Haluśka z lustra ma na sobie duży koronkowy kołnierz i króciutką, ledwie do kolan sięgającą sukienkę z ciemnego aksamitu, przewiązaną nisko skórzanym paskiem. Minę ma bardzo uroczystą, rączki trzyma daleko od siebie i naprzemian to się uśmiecha, to krzywi buzię, żeby się przekonać, czy jest Halusią naprawdę. Bo mamunia powiedziała, że Haluśka wygląda na chłopczyka, i Haluśka jest bardzo ciekawa, czy jak ją tatuś zobaczy, nie pomyśli, że z Haluśki się zrobił synek. Halusia sama siebie poznać nie może, a cóż dopiero tatuś, który jej od niedzieli nie widział i wcale nie wie nawet, że mamunia uszyła Haluśce nową sukienkę z aksamitu.

Tylko, że z tatuśkiem, to się nigdy nic nie wie. Powie »przyjadę«, a jak się wszystko przygotowuje, to nie przyjedzie, a innym razem, kiedy powie, »na pewno nie« i nic się nie przygotowuje, to właśnie przyjedzie i jeszcze dużo wujców przywiezie ze sobą. Wtedy jest bardzo wesoło i przyjemnie, ale byłoby jeszcze przyjemniej, żeby wszystko było przygotowane.

Mamuńka tak samo mówi.

Ale czasem tatuś przyjedzie i od rana jest w domu, a Haluni się zdaje, że jakby go nie było. Wtedy jest bardzo przykro, bo Halunia tak się cieszyła, tak czekała przybycia tatuśka, a tatuś tylko mamuńkę pieści, z mamuńką rozmawia i o takich rzeczach, które zupełnie nie zajmują Haluni. Albo chodzi po pokoju, marszczy czoło, rysuje papierosem jakieś figury w po-

wietrzu, uśmiecha się sam do siebie i patrzy w podłogę, a o Haluni, to jakby zapomniał. A niech mu Halunia zabiegnie drogę, żeby pokazać klamki ślicznie wyczyszczone przez Baranusię, albo »jaśkółatka« piszczące w gniazdku nad oknem salonu, tatuś odsuwa ją ręką i mówi: »zaraz, zaraz«...

Ładne mi »zaraz«, kiedy Haluśka tak długo już czeka, że aż jej się płakać chce, a potem zrobi się noc i tatuśko pojedzie.

Ale zato kiedyindziej, ledwie tatuśko się zjawi, odrazu zaczyna się dokazywanie. Tatuś mówi, że się musi rozruszać i skacze przez krzesła, albo bierze Halunię »na barana« i goni z nią przez wszystkie pokoje »naokoło świata«. Potem wykręca Haluni rączki naprzód i wtył, »żeby bylam plośta«, czasem przytym da klapsa, albo uszczypnie, a Halunia aż się zanosz od śmiechu. Nie, żeby Haluni nie bolało, owszem nieraz łzy nawet zabłyszczą w jej oczkach, ale wtedy śmieje się jeszcze głośniejsz, bo boi się bardzo, żeby tatuś nie powiedział pogardliwie:

— Ładnie! nie wiedziałem, że mam córkę z masła!

Zresztą Halunia wie, że to z żartów, a z żartów, to choćby trochę bolało — i tak jest przyjemnie.

Czasem znowu tatusia chwytają się figielki.

Biegnie Haluśka przez pokój, a tatuś porywa ją wpół i dmucha we włoski, że całą buzię jej zasłaniają.

— Ja nie lampa, nie dmusiał! — prosi Halunia, usiłując wysunąć się z opasujących ją dłoni.

A tatuś swoje.

— Nie dmusiał, bo zgaśnę! — krzyczy Halunia już na dobre przerażona i rzuca się w ramiona ojca,

szukając na jego piersi ochrony dla własnej kruchości.

Wtedy to już tatuś przestaje. Naturalnie sam się boi, żeby mu Halunia nie zgasła.

Zdarza się, że tatusik wyprawi Haluskę do kuchni, a ledwie Halunia wróci, odrazu poznaje, że tatusik musiał coś zbroić. Bo tatuś niby to czyta gazetę, a raz po raz zerka na Haluskę, a wkońcu pyta:

— A cóż tam lalki twoje zdrowe?

Oho! Już Halunia wie, co to znaczy. Biegnie do łalusinego domku i wraca za chwileczkę, czerwona z oburzenia.

— Tatusku! Na co ty Blonće-Beatlicy dałeś papieloa?

A tatuś jakby nigdy nic:

— Proszę! To twoje lalki palą papierosy?

I najspokojniej czyta dalej gazetę.

Tatuś jedne lalki lubi, a drugich nie lubi. Bronce-Beatryczy daje zawsze prztyczka w nos i mówi, że jest »paluba«, a Bobusia to nawet ochrzcić nie chciał, tylko odwrócił się z odrazą i rzekł:

— A któryż to z wujków obdarzył cię taką pokraką?

Halunia się bardzo rozżaliła. Bobusia dostała od wujcia doktora »Okląglaćka« i lubiła go najbardziej ze wszystkich lalusi, bo był różowy i tłuściutki, jak te śliczne prosiątka u Janowej, co mleko przynosi, i można go było kąpać, jak prawdziwe dziecko. Bobuś miał niebieskie »majtadalki«, takie same, jak jego oczki i płakał zawsze »i źle! i źle! i źle!« (zupełnie,

jak ja, kiedy byłam małą) — to też Halunia pojąć nie mogła, czemu się tatusiowi nie podoba.

Potym jej to wytłumaczyła Baranusia. Powiedziała Haluni, że inne jest serce »matczyńskie«, a inne »ojcowe« i że »niechtóre mężczyzny som takie«, że nie lubią małych dzieci. Właśnie taki jest tatuś. Kiedy Halunia się urodziła, także mówił »pokraka«, że Barannę »jakby nożem w serce żgnęło«. »Dobrze, że choć pani nie słyszała, boby się była zapłakała biedajstwo« — dodała, kiwając głową ze współczuciem.

Halunia się uspokoiła. Była już pewna teraz, że jak Bobuś wyrośnie, to się tatusikowi spodoba. Halunia się mu przecież teraz podoba, o! i jak jeszcze. Uważa jednak, że tymczasem lepiej tatusiowi nie nasuwać Bobusia na oczy; dla tego każdej niedzieli chowa go pod poduszkę mamuśki. Na szczęście Bobuś jest z »cieluidu«, więc choć się mama na nim położy, to i tak mu nic nie robi.

Wkrótce jakoś razem z Bobusiem zaczął się ukrywać pod poduszką i mały golasek z czekolady. Bo z golaskiem to była cała awantura. Któregoś dnia Halunia, wbiegszy do jadalni, zobaczyła tatusia przyglądającego się golaskowi z zajęciem.

Halunia chwyciła go za rękaw.

— Ty mi nie żjedź golaśka! — zawołała, widząc, że tatuś tak jakoś patrzy na golaska, jakby się namyslał, czy zacząć go jeść od góry, czy od dołu.

Tatusik błysnął z za szkieł rozszwawolonemi oczami:

— No, a jak zjem, to co?

— Kiedy to jest moje dziecko! — broniła Halusia, wdrapując się na krzesło. Ale ręka tatusia

podnosiła się zawsze wyżej, niż rączki Halusi sięgnąć mogły.

— Twoje dziecko! — oburzył się tatuś i wolną ręką łechtał Halusię to w szyjkę, to w brzusek. — Twoje dziecko? No, no, kto by się spodziewał, że moja córka będzie miała takie czarne dziecko, fe!

Halunia wybuchnęła śmiechem. Prawda, przecież golasek był cały czarny. Ładne dziecko, takie jak kominiarz i z czekolady do tego. Ostatecznie, można go nawet dać zjeść tatusiowi, bo i tak, jak Halunia wyrośnie, to dostanie inne, prawdziwe dzieci.

— Ale jak ja będę miała swoje białe dziecko, to ty nie żjesz tamtego mojego dziecka — wołała ze śmiechem, niby to oganiając się przed ręką tatusia, a właściwie podsuwając się coraz bliżej, bo zabawa zaczęła być bardzo wesoła.

— Nie zjem? — zaśmiał się tatuśko. — Ależ zjem, zjem, Haluniu, i z apetytem do tego!

— Żjesz? — Halunia cofnęła się o krok i z niepewnym uśmiezkiem patrzyła na ojca. — Chyba, że tatusik nie wie, co mówi, bo przecież prawdziwych dzieci się nie je i zresztą niania mówiła, że jak Halunia będzie miała dzieci, to tatuś będzie ich dziadek... tak, dziadek...

— A jak ty jego żjesz, kiedy ty nie będziesz miał wtedy zębów? — pytała, opierając poważnie bródkę na krawędzi stołu. Halunia przypominała sobie z całą dokładnością, że ten dziadek, co przychodził do kuchni w Krakowie, nigdy nie chciał jeść mięsa, bo mówił »nima zębów«, a potem — umarł.

— Co? Już nie będę miał zębów? — zdziwił się

tatus. — Ha, to będę musiał tak zrobić... — tu tatuś zawrócił oczami, otworzył »japkę«, jak mógł najszerzej i przełknął ślinę, aż mu coś w gardle zabulgotało. — Mniam, mnia, mniam, połknę jak pigułeczkę i już!

— A jak ty jego połkniesz, kiedy ty już wtedy będziesz umalnięty?! — krzyknęła Halunia, przebieając nóżkami ze zniecierpliwienia. — Strach, jak tatuśkowi trudno coś wytłumaczyć.

Tatusz przestał się śmiać. Zrobiło się zupełnie cicho.

— No, a ty co? — rzekł wkońcu i popatrzył na Haluškę, jakby ją pierwszy raz widział przed sobą.

— Ja có? Ja będę wtedy gośpodynia i będę miała swego męża i będę miała swoje dziecko — odpowiedziała Haluška i założyła wtył rączki.

— A potym?

— Potym, ja będę stała i umalnę, a moje dziecko będzie gośpodynia i będzie miało swego męża i będzie miało swoje dziecko — jednym tchem mówiła Halunia, trochę zdziwiona, że tatuśko wypytuje ją o takie znane rzeczy i taką ma dziwną minę, jakby mu się zupełnie jeść golaska odechciało.

BARANUSIA.



mierć jako następstwo starości i braku zębów jest wprawdzie zjawiskiem zupełnie naturalnym, jednakowoż Halunia nie lubi pogrzebów.

Zdarza się, że kiedy bawi się przed domem, dośłyszysz zdaleka żałosny, jękliwy śpiew...

Biegnie wtedy pod otwarte okno i woła przyciszonym głosem:

— Mamuśko! Pogrzeba!

I przyciśnięta do muru, zatulając rączkami buzię, patrzy z pod zesuniętych brewek na przesuającą się wolno wzdłuż sztachet gromadę zawodzących smutnie bab i chłopów, patrzy na człowieka, niosącego czarny krzyż, i żałobne, trzepiące się na wietrze chorągwie.

I patrzy na trumnę, leżącą na wozie, a w szafirowych jej oczach przebija się wyraz zaciekawienia i niepokoju.

— Jak ja nie lubię takiej pogrzeby — rzekła raz, kiedy już kondukt pogrzebowy znikł na zakręcie drogi.

— Bo się nie wie, cy umalnęło stale, cy młode — dodała, podnosząc ku matce zasępioną twarzyczkę.

— Czyż to nie wszystko jedno, Halusiu? — zapytała zdziwiona mamuśka.

Halusia potrząsnęła główką.

— Nie jedno, mamuśko — odparła stanowczo — bo stałe, co nazyło, nazyło i umalnęło, to jego już nie szkoda, a młode, co nie nazyło, to jego większa szkoda!

Dla tego to Haluni tak bardzo żal Baranusio-
wych dzieci.

Baranusia miała troje dzieci. Najpierw tego Józusia, co się urodził, kiedy niania »ożeniła za swójego męża«, ale potym, jak mąż Baranny wyjechał do innych krajów i już nie wrócił więcej, to Józus zaczął chorować i umarł. Niania mówi, że Józus to zrobił z dobrego serca, bo to było takie mądre dziecko, że odrazu zmiarkował, że jak ojciec nie przysyła pieniędzy, to matka »choćby do krzty zarobiła kulasy«, to i tak nie da rady zapracować na dwoje. Popłakiwał też sobie Józus, popłakiwał, aż raz zesi-
niało niebożątko, zipnęło z raz, abo i ze dwa może i poleciało do nieba!...

Tu Baranna zazwyczaj energicznie wyciera nos i oczy fartuchem, ale za moment już się uśmiecha dobroduszenie:

— Tyla mi się po moim łajdusie ostało — mówi wesoło, pokazując nie bez dumy olejodruk, wiszący na ścianie.

Niania najczęściej mówi o swoim mężu »łajduś«, choć on był szewcem i nazywał się Baran, Michał Baran.

Halunia ma naturalnie bardzo za złe mężowi Baranny, że od niej pojechał, ile razy jednak rzuci okiem

na kolorowy obraz w złoconej ramie, wiszący nad łóżkiem niańki, serduszko jej wzbiera uczuciem szczerzego zachwytu. Mąż Baranny ubrany jest w mundur cesarski i czerwone pantalone, siedzi na białym koniu, który w szalonym pędzie przeskakuje przez ziejącą ogniem armatę. W rękę ma świecący pałasz, na piersi dużo orderów i złotych krzyżów. Najmniej ładna jest twarz męża Baranny, taka sobie mała, niemalowana, jak na wszystkich fotografiach. Ale cały obraz jest śliczny i podoba się wszystkim, nawet Janowej z mlekiem. Tatusik tylko zawsze się z niego śmieje i mówi, że głowa męża Baranny odcięta jest od fotografii i przyklejona do obrazu zamiast głowy cesarza. I mówi Halusi, że tu powinna być inna głowa, robiona z profilu, nie z przodu, z jednym okiem i jednym uchem. Halunia nic na to tatusikowi nie odpowiada, ale wie dobrze, co ma o tym myśleć. Tatusikowi się ten obraz widać bardzo podoba, i chciałby go mieć dla siebie, a wie, że Baranusiaby mu go nie dała, więc mówi tak dla tego. Każdy ma przecież dwa uszka i dwa oka, a tatusik-by chciał, żeby mąż Baranny miał tylko jedno. Naturalnie dla tego żeby nie poznali, że tatusiowi się tak chce tego obrazka. Ale Halunia poznała doskonale.

O tamtych dzieciach Baranusi wie Halunia tylko tyle, że także pomarły. O nich jakoś nianusia nigdy nie opowiada, tylko zawsze o tym pierwszym Józusiu. A kiedy Halunia pyta: dla czego? — niania odpowiada, że nie miała dla nich serca, bo nie były do Józusia podobne. Zato ma serce dla Haluni i zawsze jej na wszystko pozwala, i co sobotę piecze dla

laluś okrągłe chlebki, takie twarde, że nawet Wiśła zgryźć ich nie może. A wszystko dla tego, że Halunia jest podobna do tego Józusia. Józus miał taktuńki nosek i dołeczki na rączkach i nóżkach, i takie oczki i »paźnokcie« i wszystko, że jak niania zacznie wyliczać, to aż mama się niecierpliwi, a Halusi odrazu się w główce maści... Bo Halunia wtedy nie wie, czy ona jest naprawdę Halunią...

Tatusz to także tego nie wie, bo niedawno powiedział do Baranusi:

— No, jak wszystko mieli jednakowe, to chyba Halunia jest waszym synkiem, co, moja Baranno?

I roześmiał się.

— E-e, panu to ta zawsze w głowie, co nie potrza — parsknęła w fartuch Baranna i uciekła do kuchni.

Halunia przypatrywała się im z niepokojem. Nie mogła zrozumieć, z czego się tatuś i niania śmieją. Jej już nieraz przychodziło na myśl, czy Boziuńka, widząc, że Józus tak ciągle choruje, nie zabrała go do nieba do naprawy, tak jak Bronkę-Beatrycę, kiedy się jej nóżka urwała, a potym aniołek odniósł ją w ślicznej sukience pod choinkę. Może i Józusia naprawiła Boziuńka i kazała odnieść drugi raz dla Baranusi, a aniołek się pomylił i zamiast do kuchni, odniósł Józusia do pokoju, a tatuś i mamuska go zobaczyli i pomyśleli, że to jest całkiem nowe dziecko i że to dla nich, i bardzo się ucieszyli, i tak się zrobiła Halusia. Haluni się wtedy serduszko kurczy boleśnie, bo przecież wolałaby o wiele być prawdziwą córeczką tatusia i mamy, a nie taką, naprawioną z Józusia.

Byłoby jej lżej, gdyby mogła zwierzyć się komu z tych dręczących ją wątpliwości, ale im bardziej pragnie poznać prawdę, tym trudniej jej się zdobyć na zapytanie.

Nareszcie dnia jednego zagadnęła mamuńkę:

— Powiedz, czy jak mnie psynióśł aniołek, to ja bylam w kośulce, czy w majtadalkach?

Mamuńka się uśmiechnęła, pocałowała Haluškę w czoło i powiedziała, że Halunia urodziła się zupełnie golutka.

A Halunia westchnęła ciężko.

Teraz to już nic nie wiedziała.

Widać, że taką rzecz może wiedzieć tylko — Boziuńka.



BOZIUŃKA.

Boziuńki Halusia tak bardzo dobrze nie pamięta, tak jak nie pamięta cioci Ini. Ciocię widziała ostatni raz, jak miała dwa lata, a Boziuńkę jeszcze przedtem w niebie. Ale i ciocię Inię i Boziuńkę zna Haluśka doskonale z »fotografji« i wie, że zarówno Boziuńka, jak i ciocia Inia bardzo Halusię kochają, bo nieraz przysyłają Haluni śliczne zabawki. Od Boziuńki przynosi je aniołek, a od cioci Ini kulawy Antek z poczty. Jeżeli Halunia chce ciocię o co prosić, to mamuśka musi list napisać, a Boziuńce wystarczy powiedzieć; Boziuńka od razu słyszy. Tylko, że niezawsze może zaraz zrobić, o co ją Halunia prosi, bo z Halunią mówi do Boziuni bardzo dużo innych jeszcze dzieci, więc żeby było po »śplawiedliwości«, Boziuńka musi wszystko robić »po kolei«.

Żeby paciorek poleciał prosto, prosto do nieba, należy go odmawiać przy oknie. Każdego wieczora opiera Halunia obie rączki na framudze okiennej i, wspinając się na paluszki, patrzy ku niebu, czy świecą na nim »gwiazdkowe dziulki«, które poro-

biła Boziuńka, żeby lepiej słyszeć, co dzieci mówią do niej.

»Ojcie nasz« trzepie prędko z roztargnieniem, gubiąc i przekręcając słowa. Wzdycha przytym ciężko, jak Baranna przy odmawianiu różańca, i raz po raz rozplata rączki, żeby nacisnąć któryś z bąbelków, które się porobiły na framudze okiennej. Czasem się tak uda, że z takiego bąbelka wyjdzie troszeczkę zielonego lakieru.

Ale przy »daj Boziu żdłowie«, ruchliwa twarzyczka Haluni zaczyna nabierać skupienia. Teraz to jest prawdziwe mówienie do Boziuńki, a nie takie »pokuszenie« i »winiwajćom«, z których Halunia nic a nic nie rozumie.

— Daj, Boziuniu, żdłowie tatusikowi i mamuńce i cioci Ini i Balanusi i wujciom...

— i Wiśelce i Kicie...

— i pani Migdalowej — succe i Migdałatkom...

— i wszystkim dobrym ludziom...

Któregoś dnia dodała po chwili namysłu:

— i wszystkim niedobrym ludziom...

Baranna, zaścielająca właśnie łóżko mamuńki, dosłyszała słowa Halusi.

— A co też to Halunię napadło, żeby prosić Pana Boga o zdrowie dla złych ludzi? — wykrzyknęła zdumiona.

— A jakby im Boziuńka żdłowie nie dała, to jakby oni poplawili, nianiu? — odparła spokojnie Halusia.

— O rany! Jakie to mądre! — westchnęła Baranna, przybijając poduszkę ręką.

Czasem prosi Halusia, żeby Boziuńka dała zajączkowi mniejsze uszka, bo z długiemi jemu nie-dobrze biegać, a czasem, żeby jej przyprowadziła »malutkie źbójciowe dziecko«.

Dla dzieci »źbójciowych i złodziejowych« czuje Halunia bezmierne współczucie.

Takie są małe, chude i obdarte. Bardzo często płaczą, bo nic nie mają, tylko buzie brudne i włoski poczochrane. I dla tego chodzą po cudzych domach i wszystko ludziom zabierają. Ale jak tylko sobie co wezmą, zaraz ludzie na nich krzyczą i wołają policjanta, a policjant im wszystko odbiera. I nikt ich nie kocha, tylko jedna Halunia. Bo Halunia wie, że one muszą zabierać, kiedy tak nic, zupełnie nic nie mają.

— Żeby do mnie psysło takie źbójciowe dziecko, i mnie chciało coś wziąć, to jaby jemu wszystko dalałam, jaby mu sukienki swoje dalałam, jaby zabawki swoje dalałam, jaby ścoteckę do żębów dalałam, to juzby źbójciatko wszystko miało i by się ciesyło i by było dobre... — marzy Halunia, kiedy po skończonej modlitwie mama układa ją w łóżeczku.

Nagle fika nóżką, zrzuca kołderkę i jednym sussem skoczywszy na kolana mamy, gołemi ramionkami owija jej szyję:

— I by mnie nie żabilo!... — szepce mamuńce tajemniczo do ucha. Haluśka wie, że dla mamy toby było wielkie zmartwienie.

I przycisnąwszy się mocniej do piersi matki:

— Powiedz, co ładniejsze, łącki cy nóżki? — pyta figlarnie, ocierając się jak kot o maminią twarz.

Mamuńka się śmieje. Wie, że teraz po kolei trzeba

wycierać buzię, rączki i nóżki. Wszystko to jest śliczne, ciepłutkie, różowe, ale takie rozpieszczone, że bez pocałowania ani rusz nie zechce zasnąć pod kołderką:

— Śpij teraz z Boziuńką!

Halusia śmieje się w kułaczek. Z Boziuńką! Boziuńce już Halunia dawno kazała iść spać. Małe dzieci zawsze najpierw spać idą, a Boziuńka jest ma lutka, mniejsza od Haluni. I już oddawna śpi w łóżeczku, które jej Halunia przygotowała w fałdce koszulki nocnej.

— Śpaj, śpaj, Boziuńko — mówi półgłosem, nakrywając medalik rączką.

I usypia bardzo zadowolona. Cieszy się, że ma śliczne rączki i nóżki, bo kiedy wyrośnie duża i ładna, to będzie tatusiowa »modelka«. »Modelki« to są takie panie, które pomagają tatusiowi lepić lalusie z gliny...

A Halunia strasznie lubi miesić i dusić rączkami miękką, »jak blotko«, glinę.

WUJCIOWIE.



skład najbliższej rodziny Halusi wchodzi jeszcze — wujciowie.

Halunia wie wprawdzie, że nie są to jej »klewniaki«, jak ciocia Inia »i te dziadzie i babcie, co pomalnęli«, ale uważa ich za swoją wyłączną własność, tak jak lalusie, Wisłę i Kitę, bo wie, że wujciowie przepadają wprost za nią. Wujciów tych ma bez liku i żyje z niemi na serdecznej, koleżeńskiej stopie. Odwiedziny każdego z nich powinny dostarczyć zarówno im, jak Halusi, pewnej sumy przyjemnych wrażeń. Halunia jest przekonana, że wujciowie przychodzą głównie dla niej, to też o ile zbyt długo rozmawiają z mamą czy tatuśkiem, mówi im wprost:

— Wujciu, jak maś bawić, to baw żalaz, bo potym, jak psyjdzie inny wujcio, to już nie będę miała ładu.

Najlepiej się bawić z każdym wujciem zosobna, bo kiedy się ich zejdzie kilku, to zaraz któryś powiada: »nie słuchaj, Haluś, tamtego wujcia, ja ci coś lepszego wymyślę«, i zabawa nie idzie wcale.

Albo zaczynają się kłócić. Zabierają Halusine zabawki, i jeden wujcio mówi:

— Wiesz, to mój słoń!

A drugi mu go wydziera:

— Nieprawda! bo mój!

Halunia patrzy na wujców zdumiona. Wie doskonale, że słoń jest jej, bo przysłał go jej jeden dziadzio ze Lwowa. I nie może zrozumieć, dla czego wujciowie mówią, że słoń jest ich. Usiłuje im to nawet delikatnie wytłumaczyć:

— Wujciu, słoń psecie jest mój słoń, słoń jescie w Klakowie byl mój słoń, słoń zawsze byl mój słoń!...

Ale wujcio Romcio, jakby nie słyszał słów Haluśki, owija słońca połą surduta i przejeżdża nim pod nosem namarszczonego groźnie wujka Bola:

— A słoń jest mój, bo ja go do domu zabiorę.

Halunia zrywa się z podłogi i biegnie do mamy. Rozzalonego pyta, dla czego wujciowie mówią, że słoń jest ich, kiedy słoń jest przecie jej i »dla czego som takie niegzezne«?

Mama się pochyla, poprawia czerwoną kokardkę, którą włoski Haluni są z jednego boku podwiązane, i szepce do ucha:

— Wstyd, wstyd, Haluś, wujciowie się tak ślicznie z tobą bawią, a ty nie znasz się na żartach i obrażasz się o byle co...

Haluśka nie podziela zdania mamy. Żeby mama była mała, toby rozumiała, że taka zabawa, to nie jest śliczna zabawa, »to jest żadna zabawa«. Ale mama jest duża, i wujciowie są duzi... I Halunia wraca do wujców, mruczając pod noskiem, z nadąsaną minką.

— Z temi ludziami, to wiecny kłopot i kłopot!...

Czasem szczególnie dotkliwie czuje Halunia od-

rębność swoją od ogółu dorosłych ludzi. Na szczęście harmonja między wujciami a Halunią naprawia się natychmiast, i za chwilę już pokój rozbrzmiewa takim zgiełkiem, śmiechem i wrzawą, że aż szyby w oknach drżą z radości i śmieją się dźwięcznym, urywanym śmiechkiem:

— Gdzie ty, kumo? — woła wujcio Bolo i goni panią żabę, która czołga się zwinnie między nogami ludzi, krzesel i fortepjanu. Wujcio chce zapędzić panią żabę do swojego stawu i daje wielkie susy przez salon, przyczym długie włosy spadają mu na twarz jak u tego Stasia-Brzyduły, »co miał gzywa, śtlach polywa, a paźnokcie, na dwa lokcie!«

Jeszcze miłszą jest »Jaskółeczka«. Wujcio Roman chwytą rękami za poły angleza i fur... lata od ściany do ściany. Jaskółeczkę chce pożreć straszny krokodyl. Ham, ham, kłapie zębami, a jaskółeczka trzepoce się i trzepoce w wielkim strachu. Nareszcie pada na dywan, ledwie żywa ze zmęczenia, i, chowając główkę pod skrzydełko, błaga słodkim głósiem:

— Krokodylu! daruj mi życie, ja mam żonę i dzieci!

Na to krokodyl, który z radosnym krzykiem dopadł jaskółeczki i miał ją zacząć jeść, wzrusza się nagle i, objawszy ją za szyję, szepce do ucha, żeby wujcio się nic nie bał, bo jaskółeczce wszystko się tylko »śniło«, a naprawdę dywan to jest gniazdko, a krokodyl — mama jaskółeczki. Można sobie wyobrazić, jak się jaskółeczka cieszy.

Na odpoczynek wujcio doktor Okrągłaczek rusza uszami i skórą na głowie. Umie także puszczać dym przez nos, jak lokomotywa, albo zwija usta w świński

ryjek i poh! poh! poh! latają po pokoju lekkie, białe pierścioneczki z dymu, które Halunia ze śmiechem usiłuje nawlec na paluszek.

Do niespodzianek nadają się najlepiej wujcio Kazik i Fiutek (co go tatuś nazywa »nalwanego«). Halunia zamyka się z nimi w drugim pokoju i tu odbywają się tajemnicze przygotowania, przerywane złowrogimi pomrukami, klaskaniem w rączki i wybuchami śmiechu. Wujcio Fiut powraca za chwilę i oznajmia tubalnym głosem, że Halunia poszła na spacer, i że to wielka szkoda, bo właśnie przyszedł cygan z niedźwiedziem i małą i pyta się, czy można wejść. — Dawać cygana! dawać małą! — wołają wszyscy, wujcio uderza kilka taktów marsza na fortepianie — po kilkakrotnych bezowocnych próbach klamka odskakuje, i w drzwiach zjawia się cygan, wiodąc na sznurku niedźwiedzia. Cygan ma na sobie tę samą, co wpierv, krakowską sukienkę malowaną w barwne kwiaty, tylko na znak męskości brzeg jej tylny zawinął ku przodowi i przepiął na brzuszku agrarką, tak, że zamieniła się w rodzaj bufiastych spodenek. Do pół twarzy spada mu wielki kapelusz malarski, którego skrzydła opierają się aż o ramiona. Pewien, że w tym przebraniu nikt nie domyśli się, kim on jest naprawdę, cygan wytrzeszcza oczy i ściąga usteczka, nawołując niedźwiedzia: uhu! uhu!

Pocciwy niedźwiedź, z doczepionym do guzika od surduta długim futrzanym kołnierzem mamuńki, wlecze się potulnie na czterech łapach, pomrukując niechętnie, kiedy wujciowie nacierają nań zbyt blisko, łechcąc go, klepiąc i dopytując cygana o małą.

— Oni som oba lażem — woła cygan, odganiając wujciów od niedźwiedzia, poczym przywiązuje go do krzesła, uderza rączką w niewidzialne tamburyno i zaczyna dziki cygański »taniuszczek«. Du — i — du! du — i — du, oj — la! oj — la! du — i — du — zawodzi, śpiesznie fikając co sił nóżkami. Du — i — du, du — i — du! — zachęca niedźwiedzia do tańca. Niedźwiedź namyśla się przez chwilę, wkońcu przednią łapą poprawia szkła na nosie, dźwiga się ciężko, podnosi najpierw jedną tylną łapę, potem drugą i zwolna kręci się wkółko, naśladując niezgrabnie szybkie ruchy nówek cygana, a ryczy przytym tak strasznie, że sam cygan blednie ze strachu i kurczowo chwyta się ręki mamy, a z kuchni wybiega Baranusia, żeby się dowiedzieć, co się stało.

A ledwie niedźwiedź dojrzy Barannę, jednym susem wskakuje na krzesło i przemienia się w śmieszna małpkę, która do wszystkich szczerzy ząbki, stroi najpocieszniejsze miny, Barannę ciągnie za fartuch, wkońcu porywa ze stołu jabłko i, bojąc się, żeby go jej nie odebrali, wygraża pięścią i zaczyna jeść prędko, prędko, a łupki rzuca poza siebie.

Wszyscy goście zanoszą się od śmiechu, a Baranna ręce podnosi do góry:

— O matko! a toczy przysięgł, że małpa prawdziwa — woła zgorszona.

Okrzyk ten budzi Halunię z niemej kontemplacji, w jakiej pogrążona naśladowała bezwiednie wszystkie grymasy i ruchy małpy.

— To nie małpa, nianiusiu, to wujcio Kazio!
I nie mogąc dłużej utrzymać swego incognito:

— A ja bylam łygan! — dodaje, spoglądając na wszystkich pociemniałemi z radości oczkami, i aż piąstki zaciska z radości, że jej się tak doskonale udało zwieść wujciów.

Niema jednak takiej zabawy, którejby Halunia nie oddała za bajki wujcia Adasia.

Właściwie to tylko mamuńka nazywa to bajki, bo wujcio i Halunia bardzo dobrze wiedzą, że to jest »najplawdziwsza plawda«. To o krasnoludkach, przychodzących do lalusinego domku w nocy i wywijających z lalusiami obertasa, to o Kicie, którą wujcio spotkał na balu, przebraną za śliczną panienkę, w błękitnej jedwabnej sukni i białych, długich rękawiczkach. Wujcio z początku Kity nie poznał i tańczył z nią przez całą noc, ale kiedy przypadkiem nastąpił na tren jedwabnej sukni, pęć! i coś go mocno zadrapało w rękę. Patrzy wujcio, a tu panience błyszczą ze złości oczy, zupełnie, jak Kicie, kiedy chce dać Wiśle w papę. Aha! pomyślał wujcio, i już tylko patrzył, czy z rękawiczek nie wysuwają się pazurki. A później, to jeszcze ją lepiej poznał. Było błoto, wujcio panienkę odprowadza do powozu, aż tu z pod sukni wymyka się — ogon, prawdziwy koci ogon! Szkoda, że furman zaciął konie, bo byłby wujcio wziął zaraz Kicię pod pachę i odniósł Halusi, tak, jak była przebrana. Halunia także żałuje bardzo, że nie widziała Kici w tej ślicznej jedwabnej sukni.

Nic się jednak Haluni tak nie podoba, jak ostatnia, bajka o czarowniku.

Chodzi sobie taki pan po świecie, gruby, czarny, z ogromnym brzuchem i z malutkimi nóżkami. Na

głowie ma czerwone rogi, których się bardzo wstydzi, i dla tego przykrywa je czapką niewidką. Przez cały dzień myśli nad tym, jakby ludziom dokuczyć, bo jest bardzo, bardzo złośliwy. Przemienia się w co mu się żywnie podoba, albo chowa się w czapkę niewidkę. Wejdzie wtedy do pokoju (apetyt ma okrutny), przysunie sobie pudełko z cukierkami — tu wujcio sięgnął dłonią, pokazując plastycznie, jak to Teodor zabiera się do roboty. Haluśka zobaczyła z podziwem, że rumiane policzki wujcia nadymają się, jak balon, a bomby czekoladowe znikają z pudełka z zatrważającą szybkością. Ale to drobiazg wobec tego, że czarownik umie całe gruszki zjadać na jeden kęs. I znowu ujrzała Halunia, jak wujcio, porwawszy za ogonek dużą gruszkę smażoną w cukrze, całą wpakował w usta i, nie otwierając ich więcej, zgryzł gruszkę i połknął. Halunia niespokojnie poruszyła się na jego kolanach. Czuła, że dostaje gęsiej skórki na myśl o takiej żarłoczności czarownika.

Na razie nie można było wypytać wujcia o więcej szczegółów, bo tatuśko odwołał go do szachów, ale Halunia nie przestała myśleć o tym, co usłyszała przed chwilą, i tylko czekała, żeby partja skończyła się jak najprędzej. Ale kwadrans mijały za kwadransami, a wujcio i tatuś ciągle jeszcze nie wstawali od stolika. Halunia podsuwała się kilkakrotnie, dając wujciowi różne znaki to rączkami, to oczami, ale wujcio nie zwrócił na nią uwagi.

Wkońcu, nie mogąc dłużej pohamować ciekawości, przytuliła się do jego ramienia:

— Wujciu, jak ja Haluśka, to on jak?

— Jak on? — powtórzył wujcio i zapatrzył się w rękę tatuśka, nieruchomo zawieszoną nad szachownicą — jak on, powiadasz?

Nastała długa chwila milczenia; Halunia czekała, żeby wujcio sobie przypomniał, ale kiedy cisza się przeciągała, mocniej oparła się o jego ramię.

— Jak ja Haluśka, to całownik, wujciu, jak?

— Czarownik? aha! czarownik — syknął wujcio, widząc, że niebezpieczna wieża szachuje mu króla — gadajże, Oskar, jak się nazywa czarownik?

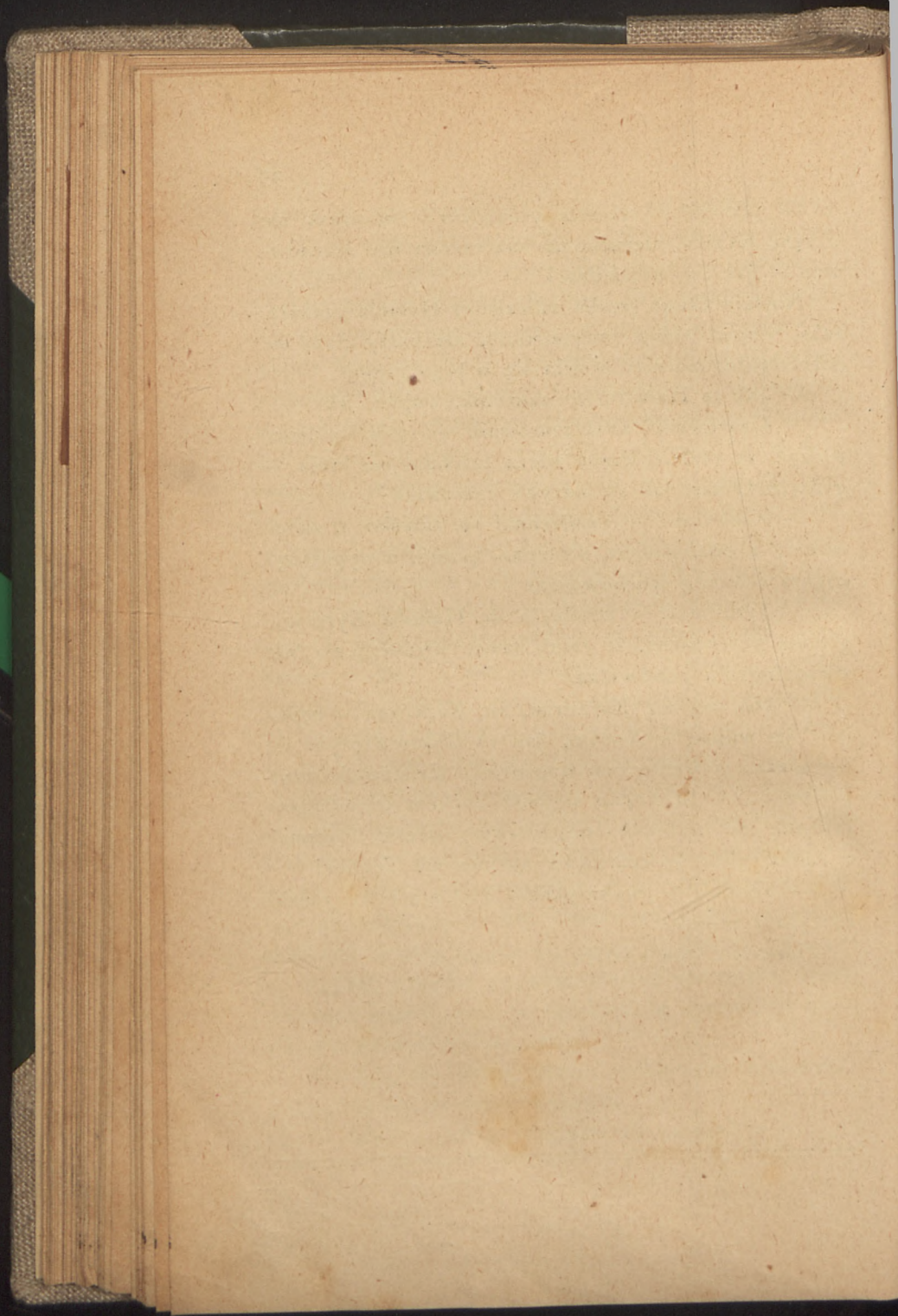
— Kapistran! — uśmiechnął się tatuśko i, zadowolony z pociągnięcia, strzepnął popiół z wygasłego cygara o brzeg szachownicy.

— Tatuśku!... — oburzyła się Halunia. Była najgłębiej przekonana, że tatuś nawet wyobrażenia nie ma o imieniu czarownika.

— No, no, nie Kapistran, nie Kapistran — uspokoił ją wujcio — już-bo, jak ty Oskar z czym się wyrwiesz... gdzieżby tam Kapistran... Czarownik, moja Haluniu... — tu wujcio szybkim ruchem przyciągnął Halunię do siebie i, odgarnąwszy włoski, szepnął w samo ucho: — czarownik nazywa się Teodor!

— Teodor! — wykrzyknęła Halunia i aż rączki złożyła z radości.

Nareszcie dowiedziała się prawdy!



HALUŚKA.

CZĘŚĆ II.: TEODOR.

法苑珠林卷之四

法苑珠林卷之四

1.

ZDEPTANE DZIECIĄTKO.



dkąd Halunia dowiedziała się o Teodorze, poprostu w główce jej się rozjaśniło. Wie już teraz, kto wsunął skałkę w poręcz od schodów, żeby podrapała jej rączkę, wie, kto przesolił tak zupe, że nikt jej przełknąć nie mógł, choć Baranna zaklinała się na wszystkie świętości, że soli nie nasypała, »ani tyle, co za paznokiechy wlaźło«, i wie, kto to zrobił taką niezgodę u wujców, że ciocusia już nie jest teraz Marjanowa, tylko Karolowa.

Kiedy jej o tym napomknęła Baranusia, Halunia pędem pobiegła do mamy:

— To ciocia Inia ma teraz dwa męża, mamuńko?

— Ależ nie, co znowu, jednego tylko. Że też Baranna musi zawsze wygadać się z czymś niepotrzebnym. Ciocia Inia rozeszła się z wujciem Marjanem, to znaczy, że przestała być jego żoną, i pojechała od niego i dopiero potym wyszła drugi raz zamąż...

— Pojechała od niego? — Halunia szeroko rozworzyła oczy. Nie wiedziała, że to tak można.

— To... to wujcio Maljan był źli, mamuńko?

— Zły? ach nie, nie był zły, tylko... jakże to Haluni wytłumaczyć? Widzi Halunia, wujcio i ciocia nie zgadzali się ze sobą i bardzo byli nieszczęśliwi, więc dla tego. Jak Halunia wyrośnie i pozna świat i ludzi, przekona się, że w życiu jest nieraz inaczej, niżby się chciało. Teraz Haluś jest jeszcze za maleńki i o takich rzeczach nawet myśleć nie powinien, ale kiedyś zrozumie, że tak jest dla nich obydwójga lepiej. — I mamuńka dodała bardzo cicho:

— Co innego, gdyby mieli dzieci.

Halunia patrzyła na mamę badawczo. Właśnie, że już teraz rozumiała każde słowo doskonale, tylko jej się to jakoś pomieścić w główce nie chciało.

Spuściła oczy i z wielkim zajęciem zaczęła zaplatać frendzle maminego szala. W uszach jej zadzwieczał wesoły śmiech cioci Ini, zadzwoniły zabaweczki przy jej pasku, zapachniała jasna suknia i włosy cioci, czarne, miękkie i takie długie, że Halunia cała nakryć się niemi mogła. Ciocia nazywała Halunię swoim bączkiem złotym i przysłała jej czerwony kufer z sukienkami i Krzysią. Krzysia już nie jest teraz ładna, nawet oczy wpadły jej do środka i Halunia niebardzo lubi się nią bawić, ale kufer jeszcze pachnie ciocią Inią. Halunia z zakłopotaniem podrapała się w karczek, było jej jakoś przykro, bo zaraz po cioci przypomniała jej się »pani sucka Migdalowa« i ciemna stajnia z bocianem na dachu i białe »tlusie«, wyskakujące z pod podłogi, i wujcio, co miał takie »duze colo az do kolnieza«, gładkie i ciepłe, jak te bułeczki, które niania piecze dla tatusia w sobotę. Ładne mi

»lepiej«... a kto teraz czesze i kąpie małe Migdałtka, co się tak śmiesznie toczyły za Halunią na krzywych nóżkach, kto smaży konfitury, kto wujciowi nalewa herbatę, wujciowi, co Halunię tak kochał, że zawsze sam jej dawał do ręki porcelanowe Chińczyki z salonu?

— Pewnie kuchalka — ścisnęło coś w gardle Halunię. Zrobiło jej się jeszcze przykrzej.

— A jaby tak nie żlobilam! — wykrzyknęła nagle i odetchnęła głęboko.

— Bo żeby ja swego męża miałam, to choćby z nim nie zgodzilam i takby nie pojechałam, tylko by Migdałki cesalam i by z nim Chińczykami bawiłam, a żeby mi mój stały mąż umalnął — głos Haluni zadrzał ze wzruszenia — toby nowego nie chciałam, by na globek chodziłam, by jemu kwiatki nosiłam, i by plakałam, długo, baldzo długo, całe życie, może dwanaście dni!

I na myśl o tych łzach, któreby musiała wylać jako wdowa, robi się Haluśce tak smutno, że czym prędzej chwyta pod rękę ogromną Bronkę-Beatrycę kręci się, kręci wkółko jak rozszałały, różnokolorowy bąk.

Lalka wytrzeszcza szklane oczy, opatrzone w czarne i grube, jak pędzelki, »bełwi« i mruga niemi z łoskotem, prędko, coraz prędkiej, póki podłoga i ściany z szumem nie rozsuna się na wszystkie strony i Halunia nie padnie buzią na kanapę, wołając:

— Okłęt plynie! okłęt plynie! okłęt plynie!

Od ciężkich zmartwień najdalej ucieka się na okręciel!

Rozmowa z mamą tak silnie utkwiała w pamięci Haluni, że zaraz nazajutrz skłoniła ją do zrobienia ogólnego przeglądu ludzików. Ludziki żyły przeważnie w stadłach małżeńskich, a ze słów mamuńki wynioskowała Halunia, że jeżeli w małżeństwie niema dzieci, to robi się niezgoda, i mąż i żona są nie-szczęśliwi. Tatusiowi i mamusi to dobrze, że dostali Halunię nazawsze. Niechby tak u nich się zrobiła niezgoda, to mamuńka zmartwiłaby się chyba, a Halunia dopiero jak! Tatuśko także, tylko-by tak nie pokazywał po sobie. Tatusie zawsze tak nie pokazują.

No, z murzynem i murzynką niema kłopotu. Mają swoje murzyniátko, tak jak tatuś i mama Halunię; Piękna Tup-Tup i Patataj dostali niedawno dwanaście dziewczynek i dwunastu synków, wyciętych z kartonu przez mamę. Jeszcze tylko wąsaty ułan i panienka...

Że też Haluni nigdy na myśl nie przyszło postarać się dla nich o jakie dziecko. Kto wie, może z niezgody zgubił wąsaty ułan kapelusz ze wszystkimi włosami, a panienka zawsze głową na jeden bok trzęsie. Niechby tak teraz panienka »ożeniła się z innym ułanem«, toby wąsatemu było smutno dopiero. Wujciowi się przynajmniej została suczka pani Migdałowa i małe, grube szczeniátko, a wąsaty ułan coby miał? nic.

Nie tracąc czasu, Halunia owija głowę w długi mamin woal i, przerzuciwszy dwa końce przez ramionka, trzepie woalem jak skrzydełkami, śpiewając:

Psylectial sobie aniołek z nieba
i dzieci niesie komu potseba.

Przefrunawszy kilka razy dokoła pokoju, przykuca nad podłogą i wiodąc za rączkę niewidzialne, takie

malutkie, najmniejsze dzieciąteczko, posuwa się z wolna ku lalusinemu domkowi, gdzie wąsaty ułan i panienka oczekują z niecierpliwością pojawienia się aniołka.

Trzeba nieszczęścia, że w tejsamej chwili Baranna, ukończywszy myć okno w sypialni, zesunęła się wtył ciężko i niezgrabnie stąpnęła na podłogę, tuż koło wyciągniętej rączki Haluni.

Wtedy rozległ się krzyk przeraźliwy:

— Łoźdeptałaś! nianiusiu, loźdeptałaś!

I Halunia rzuciła się na ziemię i zaniosła się gwałtownym płaczem.

Przerażona Baranna, przekonana, że przydeptała rączkę Haluni, zaczęła ją ścisnąć i przepraszać, ale Halunia wydarła się z jej objęć:

— Łoźdeptałaś! dziecko loźdeptałaś!

Taka była rozpacz w głosie Haluni, że Baranna zrozumiała, że idzie tu o rzecz ważniejszą, niż zwykle potrącenie. Niespokojnie rozejrzała się po podłodze. W głowę zachodziła, coby takiego rozdeptać mogła. Ale nie dostrzegszy nawet śladu niczego, spróbowała Haluskę wybadać podstępem:

— Nie płacz, Haluś, nie płacz, oj nie płacz, bo mi serce pęknie... Ino przestań płakać i powiedz, com ja ci zepsuła, a ja ci to wrócę, żebym tak skończyła, wrócę!

— A jak ty jego włóciś, kiedy ty jego loźdeptałaś! — załkała Halunia i, uniósszy z nad podłogi mokrą od łez buzię, wpiła w poczciwą twarz Baranny wielkie, rozognione oczy:

— A cego ty jego loźdeptałaś, kiedy to nie była

kalalucha! — krzyknęła groźnie i zalała się nowym potokiem łez.

Ach nie, to nie był karaluch. To było cudne małe dzieciąteczko, jeszcze mniejsze od murzyniátka, takie, jak muszka. I było różowe łobuś, i miało skrzydełka złote, i wąsaty ułan i panienka byliby się ucieszyli. A teraz co będą mieli? nic.

Baranna się zafrasowała. Czuła, że wyrządziła Haluni jakąś wielką krzywdę, i napróżno szukała sposobu naprawienia swojej winy. Zaczęła się domyślać, że bezwiednie przerwała Haluni jedną z tych zabaw, których ona, Baranna, nigdy zrozumieć nie mogła. To też czerwona, dobroduszná jej twarz wyrażała prawdziwe unieszczęśliwienie. Sapała i poprawiała się na siedzeniu, bo od płaczu Haluni zaczęło ją już »mglić w dołku«.

— Oj Haluś, Haluś! a gdzieżbym ja miała sumienie dziecko rozdeptywać, a czy to ja Herod żydowski, czy to ja się z dziećmi obchodzić nie umiem? A tożem troje rodzonych pochowała!

Tu Baranna chytrze pociągnęła nosem, chlipnęła i, zasłoniwszy fartuchem jedno oko, drugim zerkała na Halunię, żeby się upewnić, że trafiła na drogę właściwą. Ale Halunia, tak czuła zwykle na wspomnienie Baranusiowych dzieci, tym razem nawet główki nie odwróciła. Prawda, że dzieci Baranny pomarły, ale ich przecież nikt nie rozdeptał, tylko w ślicznych trumienkach pojechały prosto do nieba. I niania się tam z niemi spotka, a wąsaty ułan i panienka, choćby poszli do nieba, i tak tam swojego dzidziusia nie znajdą, bo z niego »nić nie żoś — ta — lo!!!«

Baranusi teraz wstyd, i dla tego się wypiera, a to nie jest ładnie. Już lepiej, żeby powiedziała »nie chciący«. Nibyto Halunia nie widziała, jak niania nogą deptała, nogą!

— A co to, to twoja noga, nie była twoja noga? — rzuciła nagle niania drwiące zapytanie z nad podłogi.

— Oj nie, moja Haluś! niech skonam, nie moja — jęknęła Baranna z tak szczerym akcentem w głosie i z taką siłą buchnęła się w piersi, że Halunia raptownie siadła na podłodze.

— No to kogo? — spytała zdumiona. Ktoś przecież musiał być winien rozdeptania biednego dzieciątka.

Ale zanim Baranna zebrała się na odpowiedź, Halunia klasnęła w rączki:

— Moze Teodola!

Łzy przestały płynąć, jak zaczarowane.

Naturalnie, że Teodora.

A BOŻUŃKA CO?



d tego dnia Teodor zaczął się pojawiać coraz częściej.

I już mu nie wystarczało obrywanie nóżek i rączek lalusiom i dziurawienie piłek Halusiowych, doszło do tego, że wlaź w Kitę i zadusił szarego gołąbka (gdzieżby Kita sama, Kita, co ma takie serce, że jak myszkę złapie, to kładzie przy nogach mamy »i miauka, cy można zjeść?«) a nawet... ale to trzeba opowiedzieć od początku:

Było to tego dnia, kiedy przyjechał wujcio Okrąg-laczek, żeby »popukać« Halunię i mamę. Było już po pukaniu, a mama nalewała kawę, a wujcio opowiadał Haluni, jak to raz w szpitalu cieszyły się dzieci, kiedy im wujcio sprowadził szopkę. Tylko jedna malutka dziewczynka siedziała smutna i skarżyła się dzieciom, że nie może widzieć szopki, bo jest ślepą.

— Ślepa, wujciu? — wykrzyknęła Halunia. Była pewna, że ślepemi mogą być tylko lalki, którym, jak Krzysi, oczy wpadną do środka, i małe psiątka,

dopóki im się oczki nie otworzą. — A dla czego wujcio jemu oczków nie naplawił?

— Bo się nie da, bączku. Choroba jest nieuleczalna. A szkoda, bo dziwnie ładne i dobre dziecko — mówił wujcio, nawijając długi wąs na palec i spoglądając bokiem na jego wyciągnięty koniec.

— Panie doktorze — rzekła mamuńka i, podsuwawszy wujciowi cukierniczkę, obejrzała się na Halunię, która wielkimi kawałkami chleba, zapychanemi w buzię, usiłowała zdławić wzruszenie ściskające ją za gardło.

— A, a... Bożuńka co, wujciu? — wykrztusiła z trudem, podnosząc na doktora zalane łzami oczy.

Wujcio popatrzył na Halunię, poruszył się nerwowo na krześle, odchrząknął i tak jakoś niefortunnie postawił na spodku filizankę, że się przechyliła i kawa całą strugą rozlała się na podłogę. Wujcio zerwał się i usiadł na drugą stronę stołu i zaraz zrobiło się dużo śmiechu i wrzawy, bo zanim Baranna nadbiegła ze ścierką, Wisła z jednej a Kita z drugiej strony, łym, łym językami tak doskonale wylizały kawę, że Baranna wcale już podłogi wycierać nie potrzebowała. Nikt już potym nie nawiązał przerwanej rozmowy, wujcio i mama oglądali nuty, a Halunia bawiła się w lalusinym domku.

Najpierw wyciągnęła z pod Bronki-Beatryczy czerwony kufer od cici Ini i, obróciwszy go dnem do góry, wysypała na ziemię całą garderobę lalusi. Potym zaczęła przekładać wszystkie lalki jedną po drugiej, a odnalazszy Krzysię, potrząsała nią kilka

razy, nasłuchując kołatania się oczu, zapadłych w głąb czaszki. Puste oczodoły lalki napełniały ją dzisiaj szczególniejszą tkliwością. Pocałowała Krzysię raz i drugi, przygłodziła potarganą perukę i pobiegnęła do mamy. Tu, wspiąwszy się na palce, długo coś mamie szeptała do ucha. Mama się uśmiechnęła i skinęła głową, a Halunia zawróciła do lalusiniego domku i szybko zaczęła nakładać na Krzysię wszystkie sukienki, jedną po drugiej; jedną nóżkę obuła nawet w buciczek ze skórki złoconej, drugi był już oddawna zgubiony. A kiedy usłyszała, że wujcio żegna się z mamą, jak kulka wtoczyła się do przedpokoju.

— To dla tego dziecka, wujciu — rzekła, podając doktorowi lalkę — żeby on był telaz mama Krzysi — głos Haluni zarwał się na sekundę; wydało jej się, że Krzysię kocha najwięcej ze wszystkich lalusi, bo... bo Krzysia jest od cici Ini — ona sama chciała — dodała z nagłą determinacją — a jakby dziecko pytało, jakie ocki, niech wujciunio powie, nima ocków, żeby dzieckowi nie było smutno! — i Halunia z całej siły przycisnęła się do policzka wujcia.

Doktorowi zadrgały wąsy. Przytulił Halunię do piersi, potem zwolna rozplótł rączki opasujące jego szyję, pocałował najpierw jedną, potem drugą, wcisnął lalkę w kieszeń od paltota, postawił Halunię na ziemi, obejrzał się za czapką i, nie rzekszy ani słowa — wyszedł.

Tego wieczora Halunia długo zasnąć nie mogła,

bo zaraz po wyjeździe wujcia burza wiosenna zerwała się nad Zielonym Dworkiem.

Wichura szaleje, drzewa szumią i gną się ku ziemi z żalosnym jękiem, strugi deszczu nieustannie biją o szyby okienne.

Przez otwarte drzwi salonu strumień światła zalewa białe łóżeczko Haluni, a z pod wysmukłych, delikatnych palców mamy płynie melodia, która tyle razy kołysała Halunię do snu.

Nie płacz, Haluś, nie płacz, nie płacz, nie żałuj!

Nie płacz, Haluś, nie płacz, nie płacz, nie ża-a-łuj!

I Halunia już nie płacze. Nie płacze, choć ja jeszcze bardzo oczy pieką i choć jej się przypominają same smutne rzeczy. To o tatuśku, że mieszka aż w Krakowie i pewnie znowu spóźni się na obiad w niedzielę, to o Krzysi, że się jej jeden buciczek zgubił, a kto wie, czy ciocia Inia przyszele Haluni nową lalkę na imieniny, to o Bożuńce, która tam czeka i czeka w niebie.

— A jak ja jeszcze pomyślę — że już może Migdałka o mnie zapomniały — zrywa się ostatnie łkanie w piersi Halusi, ale już żadna łza popłynąć nie chce.

A fortepjan śpiewa dalej:

Uśnij, Haluś, uśnij, aniołek cię uśpi,

Mama cię utuli w malowanej luli...

Nie, nie, już niech lepiej mamuśka nie namawia. Halunia przecież nie może zasnąć, bo musi jeszcze dużo powiedzieć Bożuńce. Chciała przedtem przy

paciorku, ale nie mogła, bo zaraz nadleciał Teodor, i zrobił tak wielki wiatr, że aż drzewa zaczęły się kiwać, i paciorki dziecinne pomieszały się ze sobą i już nie mogły polecieć do nieba. I rozsypały się na ziemię, jak te paciorki z różańca Baranusi, które Halunia pomagała jej zbierać wczoraj, i płynęły po wodzie, która z szumem płynęła po dwóch stronach ścieżki i pękały, jak banieczki mydlane, bo Teodor je tłukł! tłukł! tłukł! A wszystko z takiej wielkiej złości, żeby biedny dzidzius nie mógł widzieć szopki. Jak to Halunia zobaczyła, rozpłakała się i nie chciała już się modlić dalej, a mamuska myślała, że Halunia boi się burzy. Ale Halunia nie dla tego, tylko dla tego, że jej się tak bardzo zrobiło żal... I tych paciorków potłuczonych i tych drzew biednych, co się tak boją, a uciec nie mogą, »bo śom do ziemi psyklejone«, i Bożuńki, co chodzi tam od jednej »gwiazdkowej dziulki« do drugiej i skarży się aniołkom, że żadnego paciorka dziś nie dostał i »się maltwi«, że Halunia nic mu o dzidziusiu bez oczków nie powiedziała.

— A jak ja miałam powiedzieć, kiedy Teodor był taki niegrecny — nowemi łzami nabrzmiewają oczy Haluni.

Uśnij, Haluś, uśnij, siwe oczki stuśnij,
siwe siwusieńkie, małe malusieńkie...

spływały tony fortepjanu cichą serdeczną pieśczętą, i Haluni robi się tak ciepło koło serduszka, jakby mama tuliła ją w ramionach i pocałunkami zamykała jej spłakane oczęta.

Tylko, że Halunia dzisiaj nie zaśnie, roztwiera paluszkami powieki i myśli, że będzie je tak długo trzymać, aż Teodor się zmęczy i na dworze zrobi się cicho. Wtedy Halunia prędko powie Bożuńce o dzidziusiu, i Bożuńka ubierze się w śliczną sukienkę i buciczki ze złota. I wyjdzie na dwór... i zobaczy, że Teodor zrobił takie wielkie błoto, i powie: »na łącki«. A »pani Cęstochowska, co jest mama Bożuńki«, weźmie Bożuńkę na ręce, żeby się śliczne buciczki nie powalały, no i że Bożuńka jest malutka, mniejsza od Haluni. Idą... idą... idą... aż tu »świątełko«: puk, puk do okienka. A wujcio: Kto tam? A Bożuńka: »płosę nowe ocki dla dzidziusia!« A wujcio się ucieszy i weźmie, a Bożuńka zaraz: »o jaka ślicna lalka!« i się zapyta od kogo?

A wujcio chrząknie, i będzie szukał czapki, a czapka będzie na głowie, i pocałuje Bożuńkę mocno, najpierw w jedną, potem w drugą rączkę:

— Na čo tak, wujciu? — poziewa Halunia i przymyka oczki, ot tak sobie tylko, bo spać to się jej nie chce, zupełnie nie chce.

— Bo tak, bo tak, bo tak — odpowiada wujcio głosem zegara i kiwa nogą naprzód i wtył i znowu naprzód i wtył...

— Uśnij, Haluś, uśnij, pan Jezus cię uśpi...
coraz ciszej, coraz sennie nuci fortepjan.

— Jemu, to się już spać nie chce — majaczy się Haluni, — a żegal, to nigdy spać nie idzie — i nagle wydziera się z jej piersi serdeczne wes-

tchnienie nad niedolą zegara, który nigdy się spać nie kładzie, tylko zawsze tak chodzi i chodzi, i chodzi.

I z tym westchnieniem na rozchylonych usteczkach zasypia.

CZARY TEODORA.

Rzecz dziwna, że choć Teodor dokucza nie tylko Haluni, ale starszym także, starsi nie tak dobrze poznają się na jego psotach. Nawet mamuńka, choć przecie taka mądra, a nie może zrozumieć, że to Teodor wypalił dziurę w obrusie i zarzucił kluczyki od spiżarki, tak że Baranna musiała szafę otworzyć siekierą. I tłumaczy Haluni, że obrus spaliła niania przez nieuwagę, a kluczyki to niby Halunia, kiedy bawiła się w pociąg. Takie niedowiarstwo zasmuciło bardzo Halunię, i odtąd przestała wtajemniczać mamę we wszystkie spostrzeżenia, czynione nad Teodorem, poprzestając na zwierzaniu się Barannie, która ku ogromnej jej radości bardzo boi się Teodora. Bo też Halunia nie żałuje barw jaskrawych, mimiki i giestykulacji, kiedy po raz setny opowiada Barannie, jaki to Teodor ma brzuch ogromny, jakie rogi czerwone i jak umie całe gruszki łykać na jeden kęs. Baranna zawsze wtedy trzęsie się (oczywiście ze strachu) i zasłania twarz rękami. No, bo jest się i czego bać! Jeszcze chętniej rozmawia Halunia z wujciem

Adasiem. Bo wujcio nietylko słucha uważnie i w odpowiednich momentach głową kręci z podziwu, ale zawsze doda jeszcze coś ciekawego od siebie. Tamtego tygodnia n. p. nauczył Halunię jednego zaklęcia, którym możnaby odczarować Teodora. Zaklęcie jest bardzo łatwe, i Halunia nauczyła się go odrazu. Oto, jeżeli się ma podejrzenie, że Teodor jest gdzieś w pobliżu, należy pogrozić palcem i powiedzieć: — Teo-dor!... Teo-dor!... Wtedy Teodor siedzi cichutko, jak trusia, bo wie, że jest poznany, i wie, że gdyby w takiej chwili coś zbroił — tu wujcio głos zniżył — to tegosamego dnia jeszcze o godzinie dwunastej w nocy skończyłoby się jego panowanie. W coby był zamieniony, tymby musiał pozostać nazawsze. W lwa, to lwem, w pchłę, to pchłą, a w korek od butelki, ha! to korkiem od butelki, — zakończył wujcio i uroczyście podniósł palec w górę.

Słowa wujcia zabrzmiały w uszach Haluni, jak ostrzeżenie karzącej sprawiedliwości. »Lwa, to lwa, pchła, to pchła, a kolek butelkowy, kolek butelkowy« — kiwała w zamyśleniu nóżką, zwieszoną z fotela, niepewna, czegoby należało życzyć Teodorowi.

— A żeby w aniołka? — zapytała po chwili, bo jakoś tamte przemiany niezupełnie trafiały jej do przekonania.

— Ha! To byłby aniołkiem! — roześmiał się wujcio.

Halunia się ucieszyła. Wiedziała już teraz, co należy zrobić. Najpierw poprosi Teodora, żeby dał odczarować, a potem mu zaproponuje, żeby się zamienił w aniołka. W aniołka mu będzie przecież

dużo przyjemniej niż w lwa, albo korek. No, o pchle to się nawet nie mówi, bo jeszczeby go Wisła wygryzła i zjadła...

— Teodol, Teodol... — wywoływała go pocichu i zaglądała pod fotele, kanapę i dywan, usiłując odgadnąć, gdzie przebywa czarownik.

Ale Teodor nie domyślał się zapewne, że Halunia jest dla niego tak przychylnie usposobiona i na złość ukrywał się tak dobrze, że Halunia nigdzie go dojrzeć nie mogła. Halunia jednak nie dawała za wygraną, całymi dniami biegała po pokojach i machała rączką, usiłując zrzucić Teodorowi czapkę niewidkę z głowy, i bawiła się doskonale aż do dnia, w którym z czworga szczeniąt, które aniołek przyniósł Wiśle do pudła pod schodami, dwoje w tajemniczy sposób utonęło w sadzawce.

Naturalnie ani mama, ani Baranna nie wiedziały, w jaki sposób to się stać mogło, ale Halunia domyśliła się odrazu. I od tego dnia zrobiła się jakaś nieswoja. Zaczęła grymasić i popłakiwać bez żadnego powodu, bladła, jeżeli kto głośniejsz odezwał się albo stuknął drzwiami, to znowu przerywała najweselszą zabawę i stała nieruchoma, śledząc niespokojnie muchę głośniejsz od innych brzęczącą pod sufitem, albo firankę, poruszaną lekkim podmuchem wiatru. Halunia przeczuwała, że czarownik kryje się gdzieś w pobliżu, i dreszcze przerażenia przebiegały ją na myśl, coby to było, gdyby tak niespodzianie wyskoczył na nią i porwał ją, jak psięta, albo co gorsza, zjadł ją na jeden kęs!

A jeszcze dziś rano powiedziała niania, że Halunia jest smaczna, jak jabłuszko.

Za nic w świecie Halunia nie zostałaaby się sama, i jeśli mama wstanie, żeby pójść do drugiego pokoju, Halunia chwyta się jej kurczowo, prosząc lękliwie:

— Juś ty to złób dla mnie, nie chodź...

— Co jest temu dziecku? — skarży się mama ta tusikowi, opowiadając mu o zmianach, jakie zauważyła w Haluni.

— Deszcz pada — lakonicznie odpowiada tatuśko i, rzuciwszy okiem na wesołą, różową buzię córeczki, nie dowierza obawom mamy, uważając je za wytwór przeczulonej macierzyńskiej wyobraźni.

Bo tylko w czasie przelotnych odwiedzin ojca, zmora lęku, czająca się na Halunię z każdego kąta, z za każdego przedmiotu, nie śmie wypełznąć i kryje się głęboko przed widokiem silnych ramion tatuśka, przed stanowczym brzmieniem jego głosu i energicznymi krokami, przemierzającymi pokój.

Ale z odjazdem ojca kończy się spokój Haluni, i znowu popłakuje i kaprysi »niewiedomo czego«.

Aż dnia jednego w sypialni rozległ się krzyk przeraźliwy. Jednemi drzwiami wpadła mama, drugimi Baranna. Halunia stała pośrodku pokoju i jedną rączką wciskała między stulone kolanka fałdki błękitnej sukienki, drugą oganiała się przed czymś niewidzialnym, krzycząc przeraźliwie:

— Teodol! Teodol!

Mama porwała ją na ręce. Długą chwilę Halunia nie mogła ochłonąć z przerażenia. Wreszcie zdołała wyjąkać, że zobaczyła »molę«, ale choć ją zaraz

poznała i wołała »Teodol«, ona sobie z tego nic nie robiła, tylko leciała prosto na nią, żeby zjeść ją całą z sukienką nową i białym fartuszczykiem.

Halunia mole uważała za najżarłoczniejsze stworzenia pod słońcem, i nawet w zwykłych warunkach bała się ich bardzo.

Baranna, śledząca pilnie w kierunku wyciągniętej rączki Haluni, dostrzegła rzeczywiście złoty, drobnouchny pyłek, trzepiący się na ciemnym tle portjery. Ledwie jednak zamierzyła się nań fartuchem, Halunia z krzykiem ponownym chwyciła za rękę mamy.

— Nie daj zabijać! Mamuńko, nie daj zabijać!

— Oj jaka też to Halunia — zachnęła się Baranna, opuszczając rękę przed stanowczym skinieniem mamuńki. Baranna także żywiła serdeczną niechęć do moli, a już do zaczarowanych w szczególności...

Ale dopiero, kiedy mama własnoręcznie otworzyła okno i z zachowaniem wszelkich ostrożności zdmuchnęła mola na dwór, Halunia klasnęła w rączki i zaśmiała się radośnie. I jakby ją nagle opuściły wszystkie lęki i troski, przez cały wieczór bawiła się doskonale. Od czasu do czasu tylko stawiała przed zegarem ściennym, przyglądając się uważnie ruchowi wahadła i wskazówek.

I znowu za chwilę przybiegła do matki z pytaniem, jak to zegar pokazuje łapkami, że się zrobiła dwunasta.

A kiedy mamuńka nastawiła wskazówki na żadaną godzinę, Halunia objęła ją za szyję.

— Ty mnie zbudź, jak będzie dwunasta — szepnęła matce do ucha.

— Cóż to Haluś myśli z Kitą myszki łapać? —
roześmiała się mamuńka.

Halunia popatrzyła na mamę pociemniałymi z radości oczami, zawahała się przez chwilę i, zesunawszy się z jej kolan, z wesołym śmiechem uciekła do drugiego pokoju. Niech sobie mamuńka myśli, że myszki... aż tu Halunia w nocy ma aniołka gotowego! Już niech się mama nie boi, Halunia przypilnuje, żeby ani w lwa, ani pchłę. Co to za szczęście jednak, że go Halunia poznała!

IV.

TAJEMNICZA PACZKA.



Mama nie zbudziła w nocy Haluni, a dzień następny zalał pokoje Zielonego dworku taką powodzią słonecznego blasku, jaskółki, gnieźdzące się u okna salonu, tak donośnie świegotały o powrocie pogody i wiosny, że Haluńka zapomniała o wszystkim i tylko drżała z niecierpliwości, chcąc jak najprędzej wyrwać się do ogrodu. Ledwie Baranna raz i drugi przesunęła szczytką po jej główce, Halunia, jak rybka, trzepnęła się w jej dłoni i co tchu pomknęła na dwór. Oszałała radością przebiegała ścieżki, na których chwasty rozsiadły się wygodnie, jak małe ogródki dla laiuś, otrząsała ze śmiechem srebrną, perlistą rosę, opadającą ciężkimi kroplami na nadstawione rączki i buzię, to znowu, wcisnąwszy nosek między pręty ogrodzenia, patrzyła z zachwytem na daleki zielony ugór z porykującymi krowami i cielátkami i małą Karolę Janowej, wybijającą bosem nogami wesołe hołupce i wyspiewującą cieniutkim dyszkantem:

Ka-sie-niu, wołki mas,
obiegałaś słodkiej buzi, daj zaraz!

Pod kasztanami czekała na Halunię radość nowa. Drzewa, pokryte świeżą, młodą zielenią, aż huczały od chrabąszczy, obijających się z szumem o gałęzie i spadających wprost do nadstawionego fartuszka Haluni.

Właśnie Halunia, wybrawszy »pana i panią«, rozpoczęła z niemi żmudną naukę chodzenia na dwóch nóżkach, kiedy od domu dobiegł ją głos mamuńki.

Mama stała w drzwiach ganku i unosiła w górę dość dużą opieczętowaną paczkę.

Halunia porzuciła chrabąszcze.

— To dla mnie, to dla mnie, mamuńciu? — krzyknęła, wyciągając ku matce obie rączki.

Boże, co za cudowny dzień! Po długich tygodniach deszczu prawdziwa wiosna, z ptaszkami, chrabąszczami i słońcem, a teraz znowu prezent.

— Cy od wujciów, cy od tatuśka? Cy od cioci Ini? — zdiera Halunia sznurki, które oszczędna Baranna starannie wpierw porozluźniała zębami.

— Spokojniej, Haluś, spokojniej — napomina mama, widząc, że małe rączki drą nerwowo bibułki, owijające jakiś przedmiot kształtu dużego jaja.

Z pod czerwonego papieru wysuwa się żółty, dalej różowy, zielony, znowu żółty i tak bez końca.

— Ki djabeł! — mruczy Baranna mocno zaciekawiona i raz po raz schyla się po strzępy, wylatujące z pod paluszków Haluni, która spocona z wysiłku i niecierpliwości coraz gwałtowniej ciśnie do piersi tajemnicze zawiniątko.

Cały stół jest już papierami zasłany, a jajo nie o wiele zmniejszyło swoją objętość.

— Maś! — wybucha wkońcu Halunia i giestem pełnym zniechęcenia podaje matce paczkę, ale w ruchu tym jajo wysuwa się z jej rączek i z przytłumionym piskiem toczy się w stronę pieca.

— Pisknęło! Ucieka! — krzyczy Halunia i, podniósłszy pakiet, cała zamienia się w słuch i wzrok, śledząc szybkie ruchy maminych palców, odwijających jeden papier za drugim.

— Moze myska? Moze kanalek? Moze lybka zlota? — szepcze bez tchu, przekonana, że to »coś«, skryte w głębi tajemniczego jaja, musi być »zywce«, skoro tak wyraźnie dało znać o swojej obecności.

Paczka jest już rozmiarów zwyczajnej szklanki.

— A-a-a! — wyrывa się z trojga ust, kiedy z pod ostatniej bibułki ukazuje się niewielki potworek z gutaperki, o ogromnej murzyńskiej głowie, wybałuszonych oczach i otwartych szeroko ustach, z czerwonymi, wywiniętymi wargami. Nad króciutkiemi nóżkami w żółtych pantalonach unosi się potężny brzuch, upięty w czerwony frak i białą kamizelkę.

— Też pomysł!... — wrusza niechętnie ramionami mamuńka, podając zabawkę Haluni, która śpiesznie wyciąga rączki.

— Mnie się on baldzo podoba, mnie się on baldzo podoba, mamuńko, taki cłowiecek, ach, taki cłowiecek — wzdycha z zachwytem, ale raptem puszcza go z rąk i cofa się przelękła, bo pajac, pchnięty znienacka w brzuch palcem zaciekawionej Baranny, wysuwa z przeraźliwym piskiem język i dwa czerwone rogi i chlup!... wciąga je w siebie z powrotem.

— O Matko Kalwaryjska! A toć to chyba Teo-

dor! — wybucha śmiechem Baranna, pochylając się nad pajacykiem, który, odbiwszy się, jak piłka, od podłogi, rozciągnął się u stóp Haluni, wybałuszając na nią gały wielkich, okrągłych oczu.

— Pokaz, pokaz! — przypada Halunia i długą chwilę przygląda się pajacowi w milczeniu. — To jest Teodol — przytakuje wkońcu główką z głębokim przekonaniem. — To jest Teodol — powtarza z naciskiem, przenosząc wzrok na mamę. No teraz to już chyba i mamuńka wierzy, że to jest »plawdziwa plawda«.

— Pokaż-że mi to straszdyłło, dzitусiu — uśmiecha się mama i, rozbawiona poważnym wyrazem twarzy Haluni, naciska pajacyka. Ledwie jednak pajacyk wrzasnął po swojemu i wysunął język i rogi, Halunia oblała się rumieńcem.

— Nie ciśnij! — krzyknęła gniewnie i, wyrwawszy z rąk matki zabawkę, podreptała do ogrodu. Śpieszno jej było pokazać Teodora chrabąszczom i... była na mamę serdecznie urażona.

BOŻUŃKOWY ANIOŁEK.

Baranusia ma jednakże niedobre serce.

Tyle razy jej mówiła Halunia, że Teodor już nie jest złym czarownikiem, tylko »najzeczniejszym z najzeczniejszych«, a Baranusia zawsze swoje. Lampa się stłukła w salonie — »Teodor!« Wylała Halunia atrament na maminym stoliku — »Teodor«, aż Halunia musiała pobiec do mamy i powiedzieć całą prawdę. I o lampie, że ją stłukła Baranusia, i o tym atramencie. Dobrze jeszcze, że mamuńka uwierzyła Haluni, a nie Barannie.

Niania się za to bardzo obraziła i jeszcze więcej teraz dokucza Teodorowi. Wczoraj przy Janowej z mlekiem zaczęła opowiadać, jakie to dawniej Teodor stroił psie figle, choć Haluśka prosiła, żeby nie, bo Teodor patrzył na nią tak żałośnie »swojami oczkami okrągłemi«, jakby się chciał poskarżyć, że mu niania taki wielki wstyd robi. Pisnął nawet cichutko i wysunął język. O, nie cały, nie, sam koniuszek tylko, żeby Halunia zobaczyła, jaki jest czerwony. Bo na buzi, to on nie może pokazać, że się wstydzi, bo jego buziuńka jest czarna.

Dziś Baranna była jeszcze gorsza. Dała wprawdzie Haluni srebrny papier z czekolady, ale kiedy Halunia wyrwała się przypadkiem, że chce nim wyścielić domek dla Teodora, niania wyśmiała ją, że pracuje dla takiego djabła rogatego (mówiła: djabła), i powiedziała, że za całe podziękowanie Teodor taki oźór na Halunię wywali i takiego narobi wrzasku, że aż z domu uciekać przyjdzie.

Halunia zakipiła z oburzenia. Tupnęła nóżką, krzyknęła, że to nieprawda, bo Teodor na nią nigdy nie krzyczy, tylko na nianię, co ma dla niego takie niedobre serce, a gdy Baranna zaśmiała się niedowierzająco, Halunia zatkała uszy i uciekła z kuchni, mocno zatrzaskując drzwi za sobą.

— Brzydula — szepnęła w kierunku dziurki od klucza, i choć Baranna nie mogła dosłyszeć tego epitetu, Haluni zrobiło się troszkę łzej.

Ale żal do niańki nurtował ją dalej. Słowa Baranny poruszyły w sercu Haluni najdrażliwszą strunę. Ach, gdyby tak Halunia mogła porwać Teodora i uścisnąć go przed Baranną mocno z całej siły, tak jak tatuśka, tak jak wujcia Adama, tak mocno, żeby aż Halunię w główce zabolalo, tak mocno, żeby Barannie było zazdrość, że Halunia więcej kocha Teodora, aniżeli ją. Gdyby mogła przekonać Baranusię, że Teodor ją także kocha i cieszy się, kiedy go całuje Halusia!

Ale Halusia nie może tego zrobić i tak jej przykro, że aż jej się płakać chce z żalości. Bo choć Halunia nie przyznałaby się do tego nigdy, wie jednak, że Baranna powiedziała prawdę...

Faktem jest, że choć Halusia kocha Teodora tak,

jak żadną inną zabawkę, choć oddaje mu wszystkie najpiękniejsze mebelki i sukienki lalusz, choć nie zasnąłaby, nie ułożywszy go wpierw przy sobie w łóżeczku, choć Teodor podoba jej się tak dalece, że któregoś dnia zagadnęła mamuńkę, czy chciałyby mieć synka, »ale zupełnie, zupełnie takiego«, ona dotychczas Teodorowi nie spodobała się jeszcze. Bo niech go Halunia przy zabawie, rozbieraniu i ubieraniu bodaj leciutko pociśnie, odrazu...

Halunia tuli go wtedy do siebie, prosząc:

— Teodolku, nie wystawiaj jęzia, nie wystawiaj, ja psecież niechający, ja naplawdę niechający!

Gdzieżby Halunia naumyślnie. Wie przecież, że Teodor nie lubi, żeby go za brzuszek cisnęli. Ale Teodor powinien zrozumieć, że co innego »na złość«, jak Baranusia, a co innego z miłości.

Ale Teodor tego nie rozumie i trzepie ze złością językiem i rogami, a twarz mu się wtedy tak wykrzywia, że Halunię strach zbiera, żeby się znowu nie zamienił w czarownika. Na szczęście gniew jego mija natychmiast, a skoro wciągnie w siebie język i rogi, to zaraz robi się tak miły, zabawny i grzeczny, że Halunia nacieszyć się nim nie może.

I teraz ledwie Halunia obejrzała się i zobaczyła pajaca, stojącego przed talerzykiem pełnym ryżu z bitą śmietaną, z łyżeczką opartą o ramię — zasępiła jej buzia rozjaśniła się odrazu; zadowolona, że Teodor, zajęty leguminą, nie zauważy jej nieobecności, objęła spojrzeniem, pełnym uwielbienia, »całny lebek okłaglutki, male glubiuchne nóżki i ten bzusek kochany, psyjemny«; poprawiła mu na głó-

wie czepeczek Krzysi i w podskokach wybiegła pod lipę, rosnącą nieopodal domu.

Bawiąc się dziś zrana pod lipą, odkryła Halunia dość dużą dziuplę, prawie zupełnie zasłoniętą młodemi pędami lipy, wyrastającemi z jednego z jej korzeni.

W pierwszej chwili Halunia zląkła się trochę i wyczekiwała z bijącym sercem, czy z czarnego otworu nie wyskoczy na nią jaki smok straszny, albo krasnoludek, pilnujący zaklętych skarbów, ale kiedy nikt się nie ukazał, nabrała odwagi i zagłębiła rączkę w otwór dziupli. Stanowczo dziupla była zaczarowana. Halunia wyczuła pod rączką perły i drogie kamienie, zamienione w trociny, poczwarki i resztki zeszcłego chrabaszcza, wypłoszyła nawet dwa pająki, zapewne służbę pałacową, która teraz w pośpiechu uciekła na drzewo. Wtedy przyszło Haluni na myśl, że z dziupli tej możnaby zrobić śliczny pałacyk dla Teodora. Sprowadzona mamuńka przyznała, że pomysł jest bardzo dobry, i pozwoliła nawet użyć do przyozdobienia dziupli części ozdób pozostałych z choinki. Uszczęśliwiona Halunia zabrała się do roboty. Trociny, zaścielające dno dziupli, ubiła mocno kamieniem i przykryła miękkim dywanem z zielonego mchu, a ściany wyłożyła owym srebrnym papierem, z takim trudem zdobytym na Baranusi.

Teraz, podkuliwszy pod siebie nóżki, nawleka na długą nitkę płatki kwietne, obrywane z wielkich kiści bzu, leżących dookoła na trawie. Są to girlandy z prawdziwych pereł i drogich kamieni, które zastąpią pajęczyny, wymiecione z pałacu Teodora. Z ustek

Haluni raz po raz wydziera się westchnienie zachwytu. Wydaje się sama sobie jakąś zaczarowaną wróżką, takim upojeniem napełnia ją rozgwar ptaków i pszczoł, brzęczących tajemniczo w koronie lipy, ciepło rozgrzanego słońcem powietrza i ten cud girlandy, wykwitający z pod jej paluszków.

I marzy się Haluni, że kiedy Teodor zobaczy ten cudowny domek, to zrozumie, jak bardzo go kocha Halunia, a wtedy i on ją pokocha także i nie będzie na nią krzychał i nie będzie wystawiał języka i rogów, tylko zupełnie się poprawi, i nazawsze z nią pozostanie, bo mu z Haluską będzie najprzyjemniej, i będzie Halusin mężuś i Halusin synuś kochany.

Tymczasem z ganku raz i drugi wychyliła się czerwona twarz Baranny, i rozpaczliwy giest rąk przywołał mamuńkę do domu. Domyślając się, że zaszło jedno z tych nieszczęść, które należy ukryć przed Halunią, mama złożyła robotę i zwolna skierowała się ku domowi.

Kiedy jednak Baranna, sapiąc ze wzruszenia, wtajemniczyła ją w to, co zaszło przed chwilą, mamuńka opuściła ręce bezwładnie.

— Powiadam pani, trzasło pod nogą, kie z armaty, ażem zakrzykła: o Jezul Małom wszyckich szklanek nie zrucila z tacy. Postawiłam, patrę się i jaże mnie w dołku sparło... Rany Boskie! A toć to Teodor... — mówiła Baranna przerywanym głosem, oglądając się ku drzwiom ogrodowym.

— Oj, co też to będzie, kie się Halunia dowie!
— wyrwał się na zakończenie piskliwy wykrzyk z jej

krtani, i Baranna chlipnęła płaczem, zasłaniając fartuchem oczy.

— Tylko ciszej, moja Baranno, proszę ciszej — powtarzała bezradnie mamuńka — gdzież on jest? — dodała, upewniwszy się, że drzwi są zamknięte na klucz.

— Oj jest, jest! Sapie se ino cichuśko, ale nijakiej siły w chudziaku niema — szeptała przez łyzy Baranna i, wydobywszy z przepaścistej kieszeni pajaca, ścisnęła go przed samą twarzą nachylonej mamuńki. Teodor milczał, z głowy jego i ust otwartych zwieszały się strzępy czerwonej, poszarpanej gutaperki.

— Prawda — powiedziała mamuńka i z kolei nacisnęła potworka. Ale żaden głos nie wydobył się z małej piersi, opiętej w czerwony frak i białą kamizelkę. Strzępy czerwone chybnęły się tylko lekko. Krzyk protestu, który wstrząsnął potężnym ciałem Baranny, był łabędzim śpiewem Teodora.

Mama obejrzała go dokładnie, a widząc, że pajac w żaden sposób naprawić się nie da, odesłała Barannę do kuchni, nakazując milczenie przed Halunią, a potem nożyczkami odcięła porwany język i rogi, odniosła Teodora do Halusinego domku i powróciła do ogrodu. Halunia klęczała jak wpierrw przed dziuplą i, wiążąc kolorowe papierki na pędach lipy — mówiła coś do siebie, ani przeczuwając, z jak ścisniętym sercem mamuńka dobiera w myśli słów, mających uwiadomić Halunię o nieszczęściu, jakie dotknęło jej ulubieńca. Przytym niecierpliwiła mamę Baranna, która, jak zbrodniarz, powracający zwykle na miejsce dokonanego czynu, raz po raz ukazywała

zapłakaną twarz w oknie jadalni, co wreszcie mogło zwrócić uwagę Haluni.

A pałac Teodora był już gotów. Ściany jego lśniły od złota i srebra, u wejścia kołysała się gwiazda, jak czarodziejska lampa Aladyna. Krzew, ustrojony w papierki kolorowe, łańcuchy bzu i świeże kwiaty, wyglądał prawie jak choinka. Halunia z wielkiej uciechy obtańcowywała lipę zawrotnym »taniuszczykiem« — nigdy nie spodziewała się, że to będzie takie cudne.

Podbiegła do mamy i, ciągnąc ją ku lipie, pytała:

— Powiedz, spodoba jemu? Spodoba?

— No myślę — odparła mamuńka i, chwając dobry gust i pomysłowość Haluni, próbowała ją zachęcić do zrobienia jeszcze płotu, altanki i mnóstwa rzeczy, które Haluni wydały się zgoła niepotrzebne.

— To już żłób sobie sama — skinęła łaskawie rączką i pędem pobiegła do Teodora.

— Haluniu! — zawołała mama, ale kiedy Halunia zatrzymała się na ścieżce, machnęła ręką, na znak, że jej już niczego nie trzeba. Nie miała siły powiedzieć Haluni, że Teodor jest zepsuty.

I lepiej, że nie powiedziała.

Halunia już wpadła do jadalni. Teodora tutaj nie było. Widocznie Baranna uprzątnęła go, zbierając naczynie ze stołu. Z brzuszkiem wydętym i ustami szeroko otwartymi leżał na łóżku Bronki-Beatryczy i dziwił się zapewne, że Halunia tak długo zostawiła go dziś samego.

Halunia przypadła do łóżka lalki; oczy jej promieniały szczęściem, usteczka drżały uśmiechem. Ra-

dość, która za jej pośrednictwem miała za chwilę stać się udziałem Teodora, tamowała jej oddech w piersiach i nawet onieśmiała troszkę. Prostu Halunia nie wiedziała, jak mu to powiedzieć.

— Teodolku! — wykrzyknęła tylko i w dziecinym uniesieniu pierwszym gwałtownym odruchem chwyciła pajaca w rączki i z całej siły przycisnęła do ust...

Ale nagłe przypomnienie oblało różową twarzyczkę Haluni jeszcze krwawszym rumieńcem.

Jeżeli go uraziła?! Z bijącym sercem czekała na wrzask, którym zwykle manifestował Teodor gniew z powodu nieostrożnego pociśnięcia jego osoby. Wszystko przepadło! Już Teodor nie uwierzy w Halusine kochanie i będzie myślał, że ona, jak inni... na złość!

Zwolna, odwracając w bok oczy, odchyliła go Haluśka troszeczkę, potym więcej jeszcze, póki pod paluszkami nie wyczuła, że wzdęta, jak balon, figurka, wróciła do zwykłej objętości.

I... i Teodor nie wrzasnął. Sapnął tylko cichutko, jakby mu było bardzo, bardzo przyjemnie.

Oczy Haluni rozwarły się w zdumieniu, prawie tak, jak oczy Teodora. Nie dowierzając sobie samej, po raz drugi podniosła go do ust i ucałowała najpierw lekko, tak żeby nie urazić, a potym mocniej i jeszcze mocniej... I nic, ani języka, ani rogów. Tylko za każdym pocałunkiem lekkie, ciche westchnienie, jakby Teodorowi było bardzo, bardzo przyjemnie.

— Spodobalam! — błysnęło w główce Haluni

nagłe olśnienie i, przytuliwszy do siebie pajaca, zaczęła go ścisnąć i całować, krzycząc na cały dom:

— Poplawił! Mamuńko! Poplawił!

I rozplakała się z radości.

— — — — —

Kiedy Baranna dowiedziała się o poprawie Teodora, rozplakała się także. Przycisnęła Halunię do piersi i, gładząc ją po włoskach, szeptała przez łyzy, że »tylko skrzydełek brak, a byłby już cały aniołek z nieba«. Halunia się zdziwiła. Jej i bez skrzydełek Teodor wydawał się tak śliczny i miły, »jak najplawdziwszy bożuńkowy aniołek«.

NIE NISZCZYĆ KSIĄŻEK



7830

16065



BIBLIOTEKA MIEJSKA

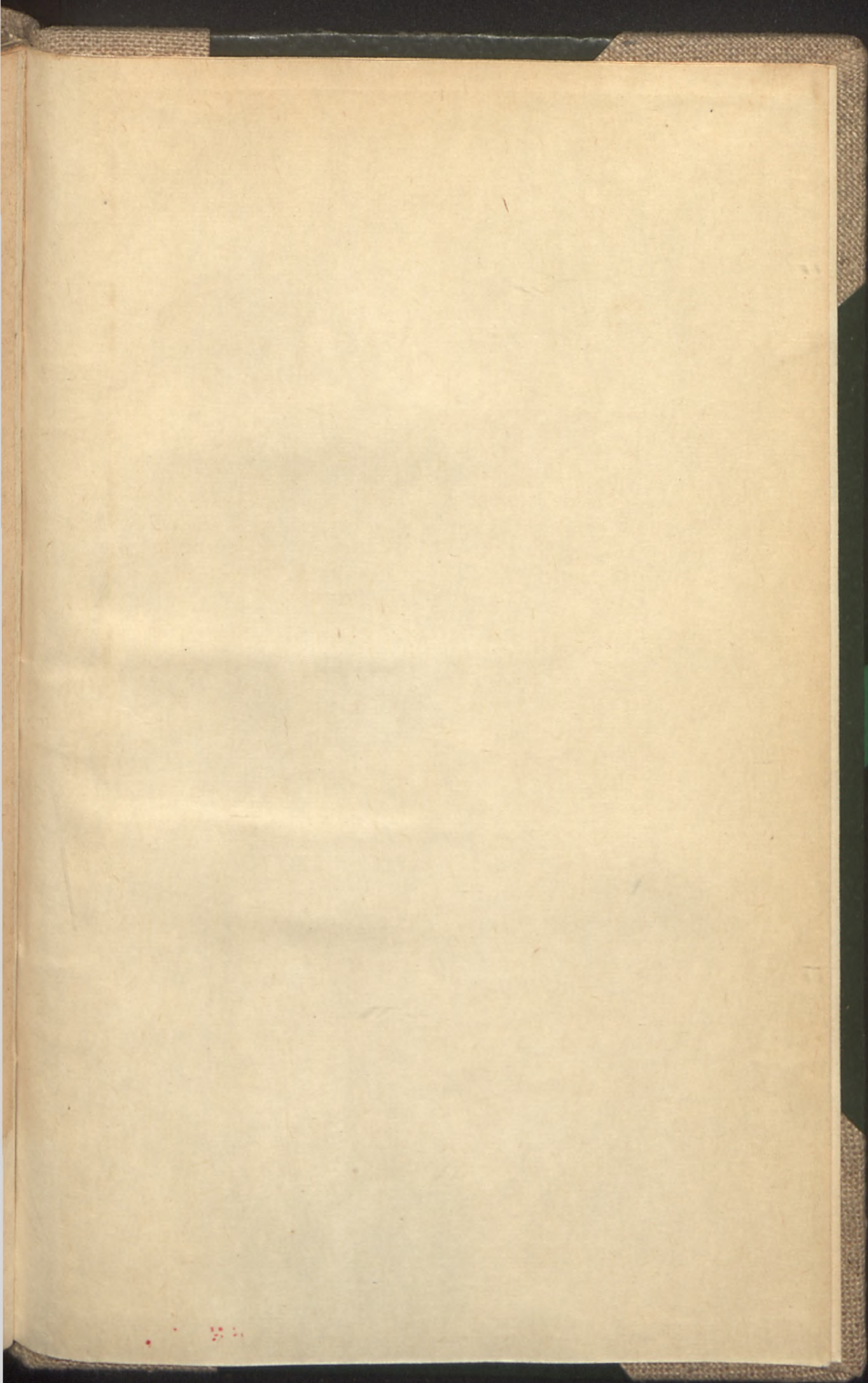
im. H. SIENKIEWICZA

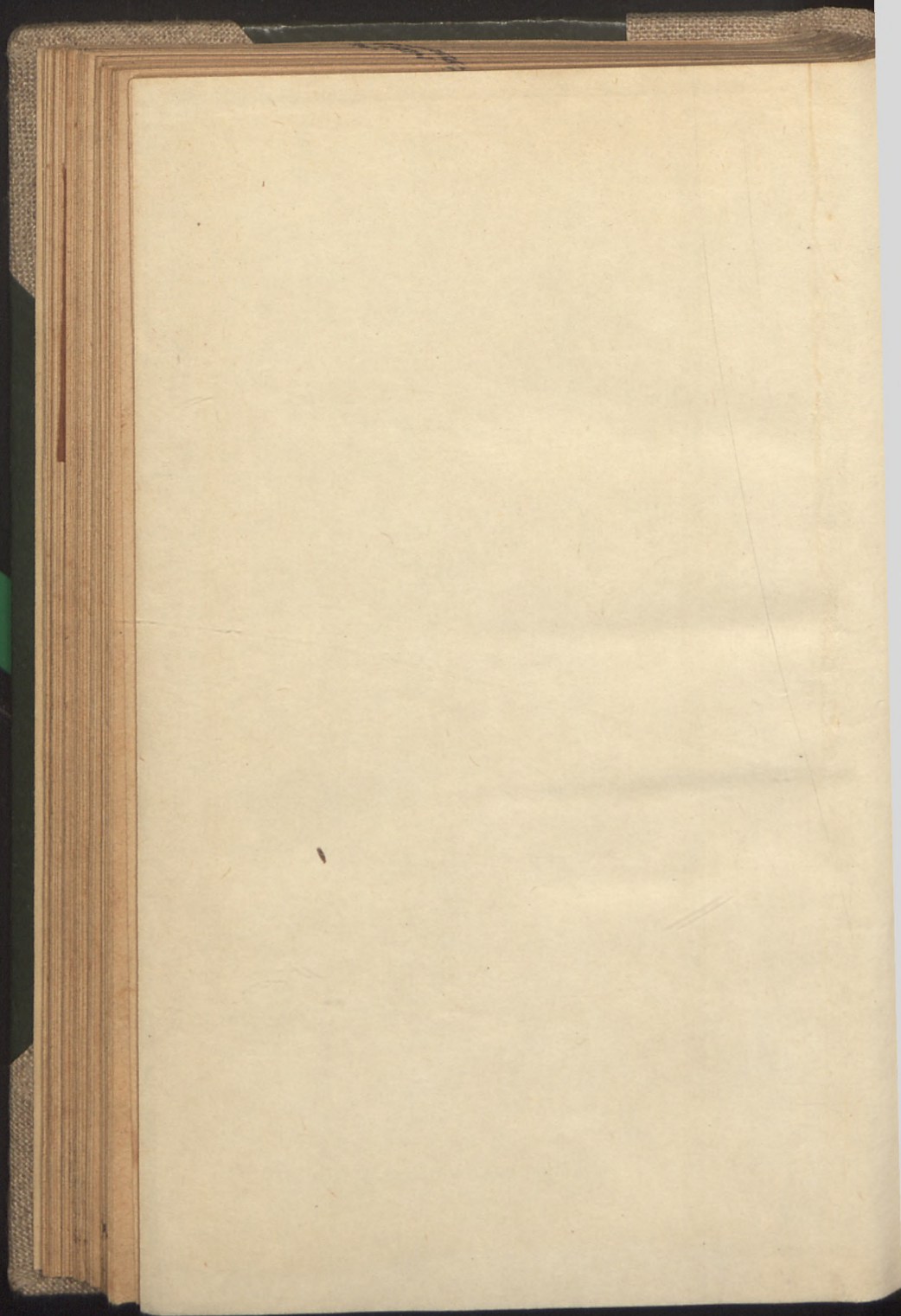
w PRUSZKOWIE

Nr. 2804.

232

Z.G.B.N. - I. 11.





Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001018624418

153045



BIBLIOTEKA
NARODOWA